№ 12. Warszawa, dnia 10 (22) Marca 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

OD REDAKCYI.

Początek powieści p. t. Przysięga Lady Adelajdy przez mistres Henry Wood, rozpoczętéj w roku zeszłym w dodatku Tygodnika, już przygotowany został, raczą przeto nowi Prenumeratorowie zgłosić się tam, gdzie pismo nasze zaprenumerowali, a natychmiast początek ten przesłany zostanie pod wskazanym adresem.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XI.

Gdy tak życie polskiéj rodziny pod włoskiem niebem w pewnych poetycznych układało się warunkach, pozostała w ziemi rodzinnéj proza przygniatała Maryana coraz bardziéj, wkładając na niego brzemię prawie nad siły ludzkie.

Był on teraz na to skazany aby surowy materyał ziemi przerobić na metal szlachetny, który kwitnącą nad brzegiem Adryatyku poezyą miał nieustannie podsycać. Robiło go to podobnym do owego górnika grzebiącego w ciemnéj otchłani za kruszcem, który tam gdzieś na świecie będzie jaśniał za kryształową szybą złotnika jako wyrób artystyczny, lub na łabędziéj szyi pięknéj tanecznicy zachwycał młodzież śród pląsów balowych... Biedny górnik!

Maryan był teraz rzeczywiście bardzo biednym. Majątek rodzinny odebrał do gospodarki wtedy gdyż już ojciec z powodu niemocy fizycznéj nie mógł daléj gospodarować. A gospodarka pana Salezego nie różniła się niczem od zwykłéj, dawną tradycyą oświeconéj gospodarki większéj części sąsiadów. Teorya téj gospodarki zależała na tem, aby z majątku jak najwięcéj wyciągnąć a nic mu nie dać aby wyciąć i spieniężyć co tylko może być wyciętem, aby pożyczyć tyle pieniędzy w różnych instytucyach pożyczkowych, ile tylko można, a potem jeżeli się już wyczerpie kredyt publiczny, aby z osobistego jak najwięcéj skorzystać, a to wszystko w tym celu, aby na świecie pożyć sobie dokąd Bóg pozwoli z pewną fantazyą.

Téj teoryi trzymał się pan Salezy. Uroił sobie, że z powodu zajętéj w parafii swojéj pozycyi, która więcéj w wyobraźni jego niżeli w rzeczywistości istniała, ma na sobie pewne obowiązki, którym pod klątwą wzgardy sąsiedzkiéj powinien zadość uczynić.

Każda nowość europejska miała w nim ochoczego towarzysza. Była w Paryżu wystawa, pan Salezy uważał za swój obowiązek pojechać na wystawę z żoną i córką, aby tym sposobem w stosunkach sąsiedzkich mieć aureolę człowieka europejskiego. Zdawało mu się, że nie mógłby się z hrabią X. który miał milionowy majątek, w mieście powiatowem spotkać, gdyby mu także coś o wystawie nie powiedział. Tak samo w kilka lat późniéj musiał być także i w Wiedniu, bo to należało do dobrego tonu. Wiele skorzystał z tych wystaw, sam nie wiedział, ale arendarz za to jego wiedział doskonale, wiele pieniędzy to kosztowało. Wybierał się także i do Ameryki, skoro się tylko wieść w Europie rozeszła o gotującéj się tam wystawie, ale paraliż częściowy ciała już mu w tem przeszkodził.

Należy jeszcze do tego dodać, że ożeniwszy się uważał także za obowiązek swojéj pozycyi, odbyć podróż poślubną do Paryża, potem co lato jeździć z młodą wystrojoną zawsze żoną po wodach zagranicznych, najwięcéj w modzie będących a tym samem najdroższych, a od czasu do czasu przemieszkać zimą w stolicy kraju lub państwa stosownie także do panującéj mody. W gruncie rzeczy nie robił tego dla rozrywki, bo w obcych miastach jeżeli do teatru nie poszedł to nudził się wraz z małżonką swoją serdecznie nie mając stosunków towarzyskich, ale wymagał tego dobry ton, który pobyt na wsi tylko jako willegiaturę uważa. Za to w stosunkach towarzyskich powiatu nadawało mu to niezwykłéj aureoli a niejedna sąsiadka zazdrościła pani Salezowéj tych wszystkich cudów i cudactw, o których potem opwiadała biednym parafiankom.

Rozumie się samo przez się, że przy takiem życiu, o którem myślał pan Salezy, że jak świecznik przyświeca całemu powiatowi, musiał być także i dwór stosownie zaludniony. Służby, koni, powozów było co niemiara, chociaż to wszystko było przez pół prawie roku bezczynnem.

W takich rękach majątek dosyć znaczny musiał się w końcu stopić. Dochód nie wystarczał, zaczęło się od małych pożyczek, a skończyło się na tem że już nic nie można było pożyczyć.

Wtedy nadszedł paraliż, a Maryan objął rządy, gdy już rządzić nie było czem! Choremu ojcu trzeba jednak było dać pomoc, i wszystko robiło się co tylko powiatowi i stołeczni lekarze radzili. Przyjechał dawny towarzysz pana Salezego i dziwił się że obojętna rodzina dotąd chorego ojca do Wiednia i Paryża nie zawiozła i tam nie zebrała na radę najznakomitszych lekarzy. Pan Salezy przyjął to ubolewanie towarzysza za objaw uczucia, jakiego śród rodziny nie doznał. Zraniło to synowskie serce Maryana, który póty nie spoczął, póki ojca z całą rodziną do Wiednia nie zawiózł. Nie spodziewał

się jednak, że znakomity lekarz tak drogie zapisze lekarstwo, na które środków bynajmniéj już nie starczyło. Przyjął jednak z submisyą tę receptę a teraz myślał nad tem, jakim sposobem tę receptę zapłacić.

Tak stały rzeczy, gdy przy niespodziewanéj pomocy pana Krzysztofa do domu powrócił, wysławszy rodziców z Elizą do kąpieli morskiéj Adryatyku.

Jakby na gorsze jeszcze jego utrapienie wieczór był mglisty i wilgotny, gdy przed dworem rodzinnym po dwugodzinnéj kołowéj jeździe stanął. Służby nie zastał nigdzie na swojem stanowisku. Rozpróżniaczona z powodu znacznéj liczby zabawiała się wesoło po różnych zakątkach dworu na koszt właściciela. Odbywszy krótką indagacyą dowiedział się, że ekonom przez kilka dni nic nie robił, że karbowy tylko pięć razy się upił, że kowal obcym ludziom z dworskiego żelaza różne rzeczy sporządzał, że wymłot i zbiór przenicy zostawiony był na łaskę robotników, i że w dodatku jeszcze kilku pastuszków w sadzie jabłka i śliwki odrapało a zielone winogrona do szczętu oberwali. Na drugie danie nastąpił raport, że wół się zabił spadłszy z wysokiego lądu, że dwoje źrebiąt odeszło a prócz tego trzy krowy zachorowały, z których jeszcze żadna nie wyzdrowiała.

Po takiem przyjęciu cofnął się Maryan do swego pokoiku, i tam zmęczony rzucił się na krzesło.

Trzeba było coś zrobić, bo inaczéj cały dom czy raczéj majątek widocznie się rozprzęgał. Był on podobny do powalonéj kłody drzewa, na którem gospodarować zaczyna już robactwo, aby je jak najprędzéj roztoczyć.

Wyjazd rodziców i Elizy do Wenecyi sprawił mu nową zupełnie sytuacyą. Potrzeba było najprzód obmyśléć, zkąd wziąść pieniędzy na tak drogi pobyt za granicą, a powtóre, czy przy zmienionéj sytuacyi nie dałoby się w domu co oszczędzić.

Zostawiając pierwszą część téj myśli na późniéj, zajął się drugą częścią. Obiecyzł, że większa połowa służby jest wcale niepotrzebną. Byli między nią winni różnych dawnych i świeżych przekroczeń, nie trafiała więc ich żadna niesprawiedliwość.

W kilku dniach wykonał wszystko co sobie ułożył. Kucharz, wieczny pijak, który do pomocy musiał mieć aż trzech kuchcików, bo sam niczego tknąć się nie chciał, wychodził pewnego pięknego poranku na czele półtuzina innéj pokojowéj i stajennéj służby z bramy dworu, miotając na niego przekleństwa i złorzeczenia.

W pobliskiem, o ćwierć mili odległem miasteczku, zamieszkanem przeważnie przez żydów, trudniących się handlem zboża i drzewa, sprawiło to niemałe zgorszenie. Handlarzom i przekupniom, którzy z dworu żyli, nie podobała się taka reforma. Jeszcze tego samego dnia w którym pijany kucharz jako żyd wieczny Ahaswer zgromadzonemu Izraelowi swoje skargi publicznie przedkładał, przyszedł do pokoiku Maryana najokazalszy jego arendarz i ozwał się zaraz na wstępie:

— Proszę pana to nie dobrze! Powiedzą ludzie że dwór bankrutuje. A gdzież w takim razie będzie kredyt?

Zacisnął zęby Maryan.

— Wiem bardzo dobrze, odpowiedział, że wielu z moich sąsiadów ratuje się tym sposobem, o jakim myślisz panie Szmulu. Ja jednak tą drogą nie pójdę. Powiadasz że to daje kredyt, a ja ci mówię, że to właśnie jest najstraszliwsza lichwa która nas pożera!

— No, ale jeżeli tak przyjdzie że i za lichwą nie będzie można dostać?

— To lepiéj się urwać niżeli wisieć!

Szmul pokiwał głową. Maryan podszedł ku niemu i bystro spojrzał mu w oczy.

— Powiedz mi panie Szmulu czy twoja rada jest szczera? zapytał z nienacka.

Arendarz spuścił oczy.

— Dla czego miałaby być nieszczera? Alboż to ja wielmożnemu ojcu źle czasem doradzałem?...

Maryan machnął ręką.

— Rady wasze i usługi, odparł, zależą na tem, aby dwór jak najwięcéj wydawał, bo przy tem macie rachunek. W takim razie poradzić pożyczką lub samemu udzielić jest zawsze waszym zyskiem!

Szmul ruszył głową, co miało oznaczać pewną indygnacyą starego patryarchy.

— A jeżeli dwór zaprowadza jaką oszczędność, mówił daléj Maryan, to wam się nie podoba. Ręczę za to, że połowa żydów z miasteczka, którzy z dworu żyją, tak sama jak waść panie Szmulu przyjmą moje postanowienia! Ale to mnie bynajmniéj nie odstraszy!

Stary minister domowy pokiwał głową, przystroił sędziwą twarz w wyraz prawdziwego smutku i pożegnał młodego dziedzica, z którego wcale nie był zadowolony. Za to zadowolony był Maryan sam z siebie, bo zdawało mu się, że dobrze robi. Rodzice z Elizą mieli w Wenecyi zabawić czas dłuższy, z czego trzeba było w gospodarstwie domowem korzystać. Ciężące, jak zwykł mawiać pan Salezy, na reprezentacyi domu obowiązki odpadły, a wymagania samotnego człowieka nie były wielkie. Trzeba jeszcze było w tym korzystnym czasie rzeczy tak poprowadzić, aby przyjazd rodziców zastał już pewne reformy, jakich za ich pobytu nie można było wykonać.

Gdy Maryan na seryo wziął się do dzieła, okazało się ono trudniejszem do wykonania, niżeli się spodziewał. Zaprowadzony przez ojca porządek miał już swoje tradycye i ludzi swoich, którzy w interesie własnym byli już z natury rzeczy konserwatystami. Dobrze się im z tem działo, a nowość dzisiejsza dotykała bezpośrednio ich interesów. Przywiléj trzymania krów, koni, trzody, drobiu, deputat drzewa a nawet i wody dla któréj osobna była służba, musiał być ograniczony, jeżeli nie miał pozostać jednym z najpotężniejszych niszczycieli majątku ziemskiego.

Reforma w tym departamencie narobiła największego hałasu. Czciciele dawnego porządku zaczęli hymnami opiewać dawnych ojców i dziadów rodziny Jastrzębców, a w ostatnim potomku widzieli wyrodka, który wszelkie lepsze tradycye zatraca, za co niechybnym upadkiem ukaranym być może.

Temu „krzykowi boleści“ zawtórowało kilkunastu żydków z miasteczka, którzy z interesów dworskich mieli dotąd przyzwoite utrzymanie. Jeden z nich, prosty faktor, przed dziesięciu jeszcze laty ubogi w podarym łabserdaku chodzący żydek, tylko za przysługi oddawane przez ten czas dworowi, wystawił sobie w miasteczku trzy domy, i rozporządzał prócz tego znacznym kapitalikiem, który chłopom na lichwę pożyczał. Drugi zarządzający czas niejaki lasami dworu, miał już teraz w sąsiedztwie okazałą dzierżawę z wielką gorzelnią, i od czasu do czasu na jarmarkach w miasteczku dopytywał się z pewną ostentacyą, wiele Tuliwody dzisiaj kosztować mogą.

Ponieważ Maryan oświadczył wyraźnie, że odtąd wszystkie swoje interesa załatwiać będzie bez interwencyi osób trzecich, że sprzedaż i kupno odbywać się będzie u niego z pominięciem dotychczasowych z małego miasteczka przekupniów i arendarzy, powstała z tąd w promieniu milowym taka wrzawa i lament, jakby już był istnym nieboszczykiem!

Wszyscy ci ludzie, którzy przy takim nowym porządku rzeczy nic zarobić nie mogli, uknuli przeciw niemu formalny spisek, chociaż bez osobistego porozumienia się. Porozumieli się za pomocą instynktu i zasad w *chajderach* małomiasteczkowych przyswojonych, które przedewszystkiem z położenia dworu korzystać każą.

Maryan nie wiedział, co przeciw niemu się gotuje. Wiedział w ogóle, że postępowanie jego nie wszystkim się podoba, ale nie przypuszczał, że sprzysiężona przeciw niemu falanga będzie tak silna i tyle szkody mu przyniesie.

Okazało się to zaraz w początkach. Pan Salezy od początku swego gospodarowania sprzedawał pewnemu przekupniowi z miasteczka drzewo z lasu po cenie, którą teraz słusznie potroićby można było. Wprawdzie taką ceną mazało się dawniejsze rachunki i pożyczki, mimo to były to ceny niepraktykowane. Maryan wiedział, że razu jednego ów przekupień wziąwszy drzewa budulcowego z lasu za dziesięć tysięcy guldenów, odebrał te pieniądze za same sągi z odpadków zrobione, a budulec został mu za darmo!

Maryan chciał przedewszystkiém oddać panu Krzysztofowi wzięte w Wiedniu od niego pieniądze, chciał także na dalsze zasilenie Wenecyi coś uzyskać i w tym celu, według zwyczaju narodowego, zaczął myśléć o sprzedaży lasu. Aby jednak żadnego nie popełnić marnotrawstwa, sprowadził sobie uczonego leśnika, kazał las na morgi podzielić i według cen targowych oszacować. Z tego szacunku wypadło, że dotychczasowa cena morga oznaczona przez przekupnia z małego miasteczka, powinna co najmniéj być dwa razy większą i jeszcze znaczną bardzo korzyść przekupniowi przynieść.

Zawołany handlarz zaklął się na duszę i ciało, że ani grosza więcéj dać nie może nad to, co dawał panu Salezemu i że jeszcze na tem sam stracić może!

Maryan pożegnał handlarza, zwrócił się do dalszych agentów i bezpośrednich nawet kupców. Odebrane od nich odpowiedzi były bardzo obiecujące. Cieszył się, że przynajmniéj majątku marnotrawić nie będzie.

Tymczasem minął tydzień jeden, drugi i trzeci a nikt z kupców lub agentów nie pokazał się. Pisał listy, ale na nie odbierał odpowiedzi wymijające, albo wprost żadnych nie miał. Tłomaczył to sobie wprawdzie niechęcią otaczających go dawnych handlarzy i spekulantów, ale nie przypuszczał aby instynktowy spisek przeciw niemu mógł się stać taką potęgą!...

A tymczasem tak było w istocie. Wszystkie karczmy, drogi i dróżki, które prowadziły do dworu i lasów Tuliwód, były obsadzone spiskowemi, którzy każdego agenta lub kupca z drogi zawracali, niestworzone rzeczy o lasach i dworze mu prawili i tym sposobem do kupna drzewa zniechęcali. Do tego spisku przyłączyło się wszystko, co teraz dworowi było niezbędne, a nawet malkontenci dworscy należeli do tego.

Maryan więc obaczył się obsaczony siecią, któréj nie mógł przedrzeć, bo nici były ukryte. Czuł tylko skutek tego obsaczenia, a skutek ten był dla niego bardzo bolesny i niebezpieczny.

To samo stało się z przedażą produktów rolnych. Ofiarowane ceny przez miejscowych kupców były tak bezwstydnie niskie, że sprawiały powszechne oburzenie sąsiadów. Żaden jednak dalszy kupiec nie zgłaszał się mimo wszelkiego zachęcenia!

Najgorsza sprawa była z gorzelnią. Majątek produkował wiele kartofli, a mając obszerną gorzelnię ciągnął z niéj niemałe zyski. Gorzelnia połączona z wypasem wołów podwyższała cenę kartofli i potrzebowała wiele drzewa. Za produkt, drzewo

i aparat brał dwór znaczną sumkę, którą dostarczał jeden z dzierżawców starozakonnych małego miasteczka.

Dzisiaj spisek ten opanował także byłego dzierżawcę gorzelni. Za produkt, drzewo i gorzelnie dawał tak niskie ceny, że Maryan musiał się obejrzyć za innym dzierżawcą. Tymczasem żaden inny się nie zgłaszał. Przyjechało wprawdzie dwóch z dalszych stron, ale rozmówiwszy się z dawnym dzierżawcą w miasteczku odjechali nie zawitawszy nawet do dworu.

Maryan nie wiedział co się po za nim dzieje, ale czuł że coraz ciaśniéj ściskają się około niego obręcze, że coraz więcéj brakuje mu tchu, że w końcu bliskim jest uduszenia!... A był to tylko prosty skutek okrążającego spisku, złożonego z ludzi, którzy instynktem wrodzonym nagle przy sobie jako jeden mąż stanęli. Warunkiem ich bytu był powolny rozkład dworu, a co się temu warunkowi sprzeciwiało, wyzywało ich do walki. Prosta więc walka o byt postawiła tych ludzi nieprzebitą falangą w koło dworu, walka praktykowana odwieczną tradycyą.

W przeciągu dwóch miesięcy był Maryan w położeniu bardzo rozpaczliwem. Nie tylko że z niskąd nie mógł żadnego wydusić dochodu, ale miał nawet wydatki, których się nie spodziewał. Do tego jeszcze bilans z pierwszych tygodni pobytu w Wenecyi nadesłany przez Elizę miał także liczby zatrważające, że biedny górnik grzebiący w ciemnéj otchłani za szlachetnym metalem prawie oniemiał.

Maryan sądził, że rodzina polska zmuszona dla zdrowia mieszkać w Wenecyi zadowoli się zaspakajaniem niezbędnych potrzeb życia, a tu tymczasem wyczytał pozycye, które nawet dla bogatszych do zbytku zaliczyć się mogą.

Eliza w bilansie uważała sama wydatki te za znaczne, ale tłomaczyła się tem że ojciec do lepszych wygód jest przyzwyczajony i że odjęcie tych wygód wywarłoby znaczny wpływ na stan jego zdrowia. A przy tych lepszych wygodach, mówiła daléj Eliza w swoim raporcie miesięcznym, jest nadzieja polepszenia się zdrowia, co już teraz daje się widzieć.

Maryan nie mógł przeciw temu nic powiedzieć, tylko westchnął głęboko za szlachetnym metalem, którego rad był wysłać jak najwięcéj choćby przez wdzięczność tylko nad brzegi Adryatyku, tak dobrze wpływające na zdrowie ojca!

(*d. c. n.*)

Do Poety.

Panu Adamowi Asnykowi. (El—y)

Poeto! Wyście możni, bo ze wszystkich darów
Dostał się Wam największy, najpiękniejszy—Bracie!
Bo słowa Waszych pieśni pełne takich czarów,
Że wszystko, zda się wszystko, w Waszem ręku macie!
Bo jeśliście weseli—cały świat się śmieje,
Bo jeśli Wy westchniecie—cały świat łzy leje!

Lecz pamiętajcie Bracie, że tę moc Wam dano
By, idąc naprzód, pieśnią wieść za sobą tłumy
Po drodze wielkiéj, szczytnéj, która Wam jest znaną...
By kształcić serca ludzkie, kierować rozumy.
By z téj rodzinnéj gleby wyrwać złe korzenie
I najlepsze, najzdrowsze—rzucić nań nasienie.

A więc śpiewajcie Bracie o prawdzie i wierze,
O miłości bliźniego, o cichéj pokorze;
O tem, co przynieść trzeba dla dobra w ofierze,
O tem, co dla nas zjedna wielkie łaski Boże.
Niechaj pieśń Wasza będzie tym zdrojem rzeźwiącym,
Który przynosi ulgę znękanym, cierpiącym,

Śpiewajcie o łzach ludu, o jego niedoli;
Sprobujcie zmiękczyć serca hardych, pysznych ludzi!
Niechaj oni uczują, co bliźniego boli,
Niechaj się w nich szlachetne uczucie obudzi.
Niech przy dźwięku tych pieśni, choć chwilkę, znękany
Odpocznie i zapomni o bólu swéj rany!

Henryk Kwiatkowski.

NA WYSPIE.

NOWELLA
Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

— Więc pan von Elze jest jéj narzeczonym Heddy? zapytał Paweł.

— A gdyby nim i był, co ciebie to może obchodzić?

— Nic, zupełnie nic. Tak sobie pytam.

— I to z takiem zajęciem?... No, uspokój się, o zaręczynach nic jeszcze nie słyszałem, a porucznik więcéj jest na wygnaniu niż w odwiedzinach na Nedurze.

— Na wszystkich bogów! cóż więc za znaczenie ma ten pan von Elze, ten porucznik bez kompanii, żyjący na wygnaniu, a przytem tak poufale śpiewający duety z panną Heddą?

— Poprostu rzeczy się tak mają: pan von Elze był oficerem przy artyleryi i bardzo zdolnym o ile słyszę. Niebawem musiał ze służby wystąpić, dla czego? nikt nie wie, z nas przynajmniéj. Jedni mówią że wskutek pojedynku z bardzo wysoko położoną osobą, inni że w skutek sposobu myślenia przeciwnego polityce. Jak widać chciano go czem innem zająć, dano mu posadę przy urządzie podatkowym, a pan von Elze nie mając majątku tem się pocieszać musi. Niespełna przed pół rokiem przybył do nas jako urzędnik poborowy. Zresztą miejsce jego jest prawie synekurą, gdyż inny urzędnik zajmuje się wszystkiemi interesami. Do tego ma mieć duże stosunki i na nowem swojem stanowisku powinienby zajść daléj, jak na dawniejszem.

— A czy osobistość ta o tyle jest przyjemna o ile tajemnicza?

— Nic, nie ma on mojéj sympatyi.

— A czy sądzisz że mógłby mieć sympatyą Heddy?

— A jednak silnie cię to zajmuje!

— Bynajmniéj. A cóż myśli o nim Klementyna?

— Zapewne nic.

— A to mi twierdzenie!

— Jakto?

— Co do mnie sądzę, że każda kobieta, szczególniéj każda młodsza, tworzy sobie pewne wyobrażenie i zdanie, o każdym, a głównie młodym mężczyźnie, bliżéj niéj żyjącym.

— Ja nie podzielam tego zdania!

— Różnica zapatrywania nic więcéj.

Czoło Gustawa zasępiło się trochę, i jak mówi przysłowie perskie, na pół minuty: „wciągnął w siebie dym rozwagi, a wypuścił dym wątpliwości,“ po chwili rzekł: Bądź co bądź, ustąpić musi może już godzina jego wybiła!

— Co to znaczy? Czy tak jak Tell Geplera, chcesz strzałą z łuku zamordować pana von Elze i to jedynie dla tego, że prawdopodobnie żona twoja na chwilę śmiała pomyśléć o nim?

— W cale nie, mój Pawle. Ja myślałem o tem tylko co mi niedawno sam powiedział, że kończy się pobyt jego na Nedurze i lada chwila spodziewa się przeniesienia.

— Tem lepiéj.

— Cóż ci z tego przyjdzie?

— Marzyłem tylko o solowych ustępach, bo nienawidzę wszelkich duetów w których drugiego głosu śpiewać nie mogę!

Gustaw śmiał się, ale nie tak serdecznie jak zwykle. Spostrzegł to Paweł i przeszło mu przez myśl że kuzyn jest może zazdrosnym o tajemniczego porucznika, lecz nie miał czasu zastanawiać się nad tem głębiéj.

Podczas rozmowy dopłynęli do Baggeru, rzucili kotwicę, gdyż dwa promy które z sobą zabrać mieli nie były jeszcze napełnione. Paweł po raz pierwszy widział morski bagger w czynności. Niezgrabne pudło o długich żelaznych ramionach, które niezmordowanie zanurzały się w wodę by wyciągać piaskiem i szlamem napełnione kubły i nasypywać niemi obydwa jego boki, wydało mu się olbrzymią przedpotopową morską potworą, wynurzającą się z wody wraz ze swemi dwoma młodemi i stękającą a sapiącą przy dobywaniu z głębin morza pożywienia dla pełnego nadziei potomstwa.

Na prawo obok baggeru kołysał się nasz mały okręt, a zdobny wysmukłym swym masztem i bogatym składem potrzeb okrętowych wyglądał jak zwinna mewa, obok niezgrabnego pingwina. Na lewo ale cokolwiek daléj leżał skład węgla; czarny kadłub bezwątpienia niegdyś wspaniałego okrętu, dziś odarty ze wszelkich ozdób, na stare lata zmuszony był melancholicznie rozmyślać nad lekkomyślnie spędzoną młodością, i od czasu do czasu wydawał marzące dymu obłoki.

Wśród tego tłum większych i mniejszych statków, wszystkie kołysały się na spienionych falach, nad niemi roztaczało się błękitne, bezchmurne, letnie niebo, z którego lśniące poranne słońce świeciło, a fantastycznie wyglądający, brunatni na pół nadzy ludzie, rzeźko piasek w promy wsypywali, lub młode morskie potwory długiemi drągami kierowali na tę lub ową stronę. Był to obraz silnéj fizycznéj pracy ludzkiéj, pełen promieni słońca i świeżego morskiego powietrza: widok ten czynił Pawłowi prawdziwą przyjemność. Od Neduru byli tylko o ćwierć mili oddaleni; Paweł pilnie patrzał przez perspektywę w stronę wysepki, która po rozmowie z kuzynem tém go więcéj zajmowała. Nad długą, wązką ławę piasku nie ujrzał nic więcéj, a i ta wydawałaby się bezludną lub niemożliwą do zamieszkania, gdyby ku jéj środkowi nie wznosił się dom czerwoną dachówką pokryty którego okna błyszczały od słońca. Z bocianiego gniazda masztu robiąc dalsze spostrzeżenia, dojrzał prócz tego dwa, czy trzy domki. Żerdzie z flagami, i inne sygnały wznosiły się tu i owdzie na wyżéj leżących punktach. Na słońcu oświetlającem, białego piasku wybrzeża, kilka wypoczywało łodzi, inne kołysały się na wodzie obok małego mostku służącego do wylądowania. Z mieszkańców, parę męzkich postaci można było ujrzéć, powoli kroczyły po wybrzeżu, na chwilę zajęły się przy łodziach, i znowu zniknęły. Nareszcie odbiła łódź od brzegu i płynęła ku okrętowi, który sygnałem żądał sternika. Ostrym swym przodem prując fale, i zaledwo poruszając wody powierzchnię, łódź ta w szybkim biegu tuż obok nich przepłynęła.

U steru siedział stary człowiek z rozwianym od wiatru włosem.

— Czy to jest stary Walter? zapytał Paweł. Gustaw śmiejąc się odpowiedział „nie!“

Cały ranek przeszedł na oglądaniu, badaniu, żarzących się wnętrzności bagera: brodaty maszynista starał się wytłomaczyć Pawłowi znaczenie kół, i dźwignię, co niematematyczny umysł Pawła do rozpaczy doprowadzało, a ludzie ze swemi od węgla zczerniałemi twarzami, rozgrzanemi podwójnym żarem słońca i ogniska, żywo przypominali mu ludzi w płomienistym piecu. Raz jeszcze okręt tam, i napowrót przepłynął, gdy nareszcie odgłos dzwonka dał hasło zawieszenia roboty, i nagle po zgrzytaniu i turkotaniu maszyny nastąpiła błoga cisza. Wsiedli do łodzi, by jak mówił Gustaw dopłynąć do Nedur, a jak twierdził Paweł do Scherji się dostać.

Rozdział III.

Wszystkim wyspiarzom właściwa ciekawość zgromadziła na pomost tuzin blizko ludzi, t. j. wszystkich prawie mieszkańców oczekujących przybycia zapowiedzianego gościa. Były to ogorzałe twarze sterników, kilkoro silnych rudowłosych dzieci, a nadto dwie kobiety, kobiety młode, w jasnych letnich sukniach uśmiechające się mile przybyłym z pod dużych słomianych kapeluszy.

Gdyby nawet Paweł, nie był paniom przedstawiony, ani chwili nie byłby w niepewności, która z dwóch kobiet jest żoną Gustawa, a która córką komendanta. Paweł miał zwyczaj robić sobie naprzód już, wyobrażenie właściwe o osobach, które miał poznać lub poznać pragnął, nazywał on to wyższą intuicyą, to też znalazł naturalnem, że Klementyna była wysmukłą blondynką z łagodnemi, dużemi, niebieskiemi oczami, a Hedda ładną brunetką, której oczy co do barwy i wyrazu wtedy nawet były zagadką, gdy ciemne rzęsy podniosła.

Wesoło gawędząc szło towarzystwo ku domowi pokrytemu czerwoną dachówką, w którego progu witał je z radością stary Walter, w podwójnym blasku niebieskiego munduru komendanta i swéj poczciwéj czerwono brunatnéj twarzy. Z początku niemałe było zadanie dla Pawła, zrozumiéć znaczenia słów jego niewątpliwie serdecznych i gościnnych, ale niemniéj mało zrozumiałych. Mowa zacnego komendanta była najdziwaczniejszą mieszaniną narzeczy niemieckich, i niemałéj ilości wyrazów należących do wszystkich narodów, których kraje zwiedził w podróżach swoich. Podczas gdy Paweł jak mógł porozumiewał się z gospodarzem, tenże prowadził gościa do przygotowanego dlań pokoju, w szczycie tego wygodnego jednopiętrowego domu, a w przechodzie dawał mu szczegółowy opis całego mieszkania. Już od samego rana widział Paweł tyle niespodzianych, niezwykłych, tyle nowych rzeczy, że nie zadziwił się nawet gdy skromne żeglarskie mieszkanie, które mu wyobraźnia i perspektywa przedstawiały, rzeczywistość zamieniła w dom okazały, urządzony z całą wygodą, którą tylko stworzyć może z bogactwem graniczący dostatek. Gdyby oczy jego nie spotykały wszędzie mnóstwo przedmiotów, nasuwających myśl morza, mógł był sądzić że znajduje się w willi bogatego kupca. W jednym z pokoi lśniła się szafa napełniona kosztownemi muszlami; u sufitu drugiego zwieszał się misternéj roboty okręt w miniaturze, opatrzony we wszelkie przybory; był to model owego schooneru na którego pokładzie stary lew morski, bronił się całe pół dnia przeciw piratom malajskiego archipelagu, aż dopiero noc nadchodząca i silna budowa oryginału, zdołały go wyrwać z rąk napastników. W innych szafach i w innych pokojach znajdowały się korale, dziwaczne morskie rośliny, latające i skamieniałe ryby, wypchane ptaki, począwszy od majestatycznego orła morskiego, do najmniejszego kulika i tysiące innych przedmiotów, które żeglarz ma sposobność zgromadzić będąc namiętnym lubownikiem podobnych zbiorów. Wszystko przytem było z takim wdziękiem uporządkowane, tak stosownie do ozdoby pokoju użyte, a inne szczegóły umeblowania w tak dobrym smaku, wygodne i bogate, że całość zarówno przyjemne jak oryginalne czyniła wrażenie.

Szczególniéj podobał się Pawłowi największy i najpiękniejszy pokój z całego domu, z którego oszklone drzwi i parę schodków, prowadziło na ogrodzone miejsce, któremu kilka grządek otoczonych muszlami, parę drewnianych krzeseł i stołów dawało pozór ogrodu, i dla tego to pokój ten ochrzcił on mianem sali ogrodowéj. Sala ta leżała od tyłu na południowéj stronie domu, a z okien jéj, tych samych, które Paweł rano przez perspektywę spostrzegł, wspaniały rozlegał się widok na otwarte morze, na którem stojąca obecnie flotyla bageru, i wynurzające się z horyzontu zbliżające lub znowu znikające okręty, tworzyły pełną rozmaitości panoramę. Wybrzeże, do którego z ogródka prowadziła pochyła płaszczyzna cienkim szarym piaskiem jak by usypana, zaledwo o sto kroków było oddalone i szemranie fali wypełniało każdą pauzę w rozmowie osób zebranych w ogrodowéj sali. Ale przestanki takie nie zdarzały się często. Przy stole żarty i śmiechy nie miały końca, a nawet po obiedzie, gdy Gustaw do baggeru popłynął, Klementyna poszła do swojego dziecka, prześlicznego czteroletniego chłopczyka, komendant czem innem był zatrudniony, a Paweł i Hedda pozostali sami, i wtedy rozmowa nie przerwała się ani na chwilę. Żar starego hiszpańskiego wina, które papa Walter wydobył z piwnicy, w tem gorętszych i jaskrawszych barwach pozwolił igrać zawsze bujnéj wyobraźni Pawła. Komplement *„dobrego towarzysza“* jakim go z całą szczerością obdarzyła Hedda, uważał on za sprawiedliwie zasłużony, ale uprzejmym był o tyle że odpłacił się równym, mówiąc ze łatwo być dobrym towarzyszem w tak miłem towarzystwie. „Obecność niektórych osób,“ ciągnął dalej „ma na nas wpływ taki, jaki mają ciepłe promienie słońca na śniegi wiosenne. Gdy na zimnym świecie, w lodowatéj atmosferze obojętności, przy ostrym wietrze nienawiści, martwieje myśl w głowie, a uczucie w sercu, to przed ciepłémi, dobrémi, kochanémi ludźmi, wyśpiewamy chętnie tak smutne jak wesołe, wszystko co gra i brzmi w duszy naszéj.“ Do tych wybranych dzieci ludzkich, musiała i mądra Hedda należéć, inaczéj czyżby jéj był opowiadał to wszystko o czem mówił jéj tego popołudnia. A o czem on jéj nie mówił? O dziecięcych swoich zabawach, o towarzyskiem życiu stolicy, o podróżach, o spokojnym cmentarzu leżącym przed oknami jego pracowni; o fantastycznych marzeniach lat młodzieńczych, i o poważnéj pracy mężczyzny. Jemu zdawało się, że téj ładnéj, mądréj twarzyczce dziewczyny o ciemnych nieodgadnionych oczach, powinien opowiedzić wszystko, gdyż ona wszystko zrozumiéć jest zdolną, ona zaś za zaufanie, zaufaniem płaciła. Wspomnienia z niezapomnianych pensyonarskich czasów, stara przełożona o surowych rysach, a sercu pełnem miłości i dobroci: sentymentalny pastor czytujący im Goethego i Schillera: samotne życie na wyspie, czytanie, muzyka, wszystko szło kolejno po sobie. A jak śliczne umiała kreślić obrazy ze swego otoczenia, jak trafnie malowała dobroduszny poczciwy charakter Gustawa, zdrowy rozum Klementyny i nienawiść jéj do wszelkiéj przesady i kłamstwa. O panu v. Elze, który wyjechał chwilowo, mówiła mało; tem więcéj za to o ojcu i o zmarłéj swojej matce. Portret jéj wiszący w przyległym pokoju musiał Paweł obejrzéć, zaprowadziła go Hedda, i opowiadała z zapałem jak nawet w późniejszym wieku matka jéj była piękną, a przytem jak mądrą i miłą!

— Ile to można przez jedną godzinę przegadać, gdy się porządnie zabierze do dzieła, śmiejąc się rzekła Hedda gdy niebawem nadeszła Klementyna a za nią podwieczorek i komendant.

— Musimy jednak naszemu gościowi pokazać nasze wspaniałe państwo w którem słońce nie zachodzi, dopóki świecić ma ochotę! zawołała Hedda, i po kawie całe towarzystwo wyszło przejść się po wyspie, jeżeli nią nazwać można wydmę piaskową, około dwóch tysięcy kroków długą i w najszerszem miejscu prawie tyleż mającą, a w najwyższym punkcie zaledwo na dwadzieścia stóp nad poziom morza wyniesioną. Przechodzili przez małą przez sterników osiedloną osadę, leżącą pomiędzy domem komendanta a wzniesionéem wybrzeżem, w skutek czego przynajmniéj z dwóch stron ochronioną była od wiatrów. W jednym z małych domków przez otwarte okno ujrzał Paweł bogato urządzony pokój.

— Któż tu mieszka? ze zdziwieniem zapytał kuzynki. To salon pana von Elze, zamiast niéj odrzekła Hedda. W oknach domków stały kwiaty w muszlach wielkich, a grządki przed drzwiami również muszlami otoczone były. Wszystko czyste i schludne, ale tak pozbawione życia, że gdy Paweł usłyszał ryk krowy zaledwo uszom swoim dowierzał, i śmiejąc się zapytał: czyżby to była prawdziwa krowa? Oko w oko spotkasz się pan z nią za chwilę rzekła Hedda. I wyszedłszy z wioski doszli do kawałka łąki na któréj pasło się kilka krów, zapewnie nie zbyt smakując w téj ciemnéj, długiéj, i suchéj trawie. Teraz wchodzimy do Czarnego lasu, rzekła Hedda gdy za łąką ujrzeli wznoszącą się przestrzeń kilku morgów piasku z rzadka zarosłą jodłami wysokości człowieka. Tu zawrócimy rzekła Hedda. A czy nie pokażesz Pawłowi twojéj altany? spytała Klementyna. A czem byśmy się jutro pochwaliły? odpowiedziała. Zawrócili zatem i napowrót szli wybrzeżem koło domu komendanta aż na przeciwny kraniec wysepki, która w téj części coraz stawała się węższą i w końcu zaledwo na kilka stóp była szeroka, zdając się jakoby blizką zatonięcia. Dla Pawła był to zadziwiający widok: to wązkie pasmo piasku zaledwo nad wodę wystające a będące w stanie powstrzymać jéj wzburzone fale w ich na pozór niczem nie pohamowanym biegu. Wraz z Heddą dotarł do ostatecznego krańca, gdzie przed chwilą jeszcze kilka mew siedziało, które teraz z krzykiem krążyły nad głowami przybyszów. Gdy ujrzał zielonkawe, pianą pokryte fale, jak jedne po drugich rozlewały się u stóp ich w figlarne kółka, z przejęciem powtórzył słowa psalmisty: Tutaj jest kres dumnym twoim falom! Gdy późno już wieczorem zaprowadził komendant gościa do przeznaczonego mu pokoju i przekonał się że do wygody nic tam nie brakowało, a nareszcie „dobranoc“ mu powiedział, do listu napisanego wczoraj do przyjaciela, te słowa jeszcze dodał Paweł. „Najlepszy mój Franciszku! przeżyłem dzień zachwycający i żałowałem po tysiąc razy że ciebie przy mnie nie ma. Kiedyż nareszcie pozbędę się dziwacznego przyzwyczajenia tylko w twojem towarzystwie czuć się zupełnie szczęśliwym? Jakże pragnąłbym wiedziéć co sądzisz o oczach Heddy? Że są piekne i dziwnie mądre, to i bez ciebie dobrze widziałem, ale barwa drogi przyjacielu, jaka jest ich barwa? Czy są piwne, czarne, czy zielone? tego odgadnąć nie mogę. Że oczy Klementyny niebieskie, to nie ma wątpliwości. Czy ona na prawdę stosowną żoną dla Gustawa, lub przeciwnie: jestże Gustaw dla niéj sto-

sownym mężem? Tak? Nie? Tego wieczora jesteś bardzo tajemniczy. A czy pojąłeś historyą o wężu morskim z którą dziś wieczór przy ponczu popisywał się komendant? Mnie wydała się ona prawdziwym morskim wężem, tak była długą, bez początku i końca, bez głowy i ogona. Ach Franciszku! czemuż ciebie tu nie ma? Naprawdę żal mi ciebie! Jestem teraz o tyle szczęśliwszy od ciebie o ile więcéj harmonijnym jest szum odbijających się fal o wybrzeże, od ruchu dorożek po miejskim hałaśliwym bruku. Dobranoc mój drogi! pisałbym chętnie dłużéj, ale jestem tak znużony, tak szczęśliwy, że z konieczności spać i marzyć muszę. Dobranoc!“

(d. c. n.)

Korespondencya Zagraniczna.

Londyn 12 Lutego.

Niepewny rezultat wojny afgańskiéj. Powrót do ceł protekcyjnych. Bezrobocia. Stowarzyszenie tramps'ów. Cyganie. Zamierzona reforma praw. Zmniejszenie się bogactwa narodowego. Plama na słońcu i jéj skutki Składka na mieszkańców wyspy Pitkairu; ich tęsknota do swoich jałowych skał. Nagroda dla szybkobiegaczy. Środki w celu zapobieżenia pijaństwu. Pani Molloy. Życie publiczne lorda Beaconsfield. Małżeństwo republikańskie.

(Dokończenie).

Dotąd Anglia przewyższała bogactwem wszystkie kraje, nie wyjmując Francyi; ostatnie pięć lat ciężką jéj pod tym względem zadały klęskę. Nieustanne bezrobocia, nadzwyczaj liczne bankructwa, zmowy chłopów nie chcących pracować za obniżone zarobne, powodują szerzenie się niebywałéj dotąd nędzy. Trudno wskazać na pewno powód zmniejszenia się działalności handlowéj i przemysłowéj, w kraju tak dotąd uprzywilejowanym pod tym względem. Zwraca także uwagę znikanie kapitału, nieprzebranego jak się zdawało dotąd. W roku 1873 sporządzono spis kapitałów angielskich, i otrzymano następujące dane. W pożyczkach zagranicznych, 400 milionów; koleje żelazne wielkobrytańskie 400 milionów; fundusz krajowy, 800 milionów; kapitały leżące w przemyśle krajowym, w rękodzielniach, kopalniach, okrętach i t. p. 2 miliardy; w nieruchomościach 3 miliardy, a zarobne klas roboczych obliczono wówczas na 400 milionów. Od ostatnich pięciu lat liczby te uległy znacznemu obniżeniu; jedne straty są niezwrotne, inne mogą się zmniejszyć podniesieniem obniżonych wartości. Dotąd dobra ziemskie nie spadły jeszcze w cenie, ale przewidują że niezadługo szacunek ich obniży się o 15 do 20 na sto. Obliczając tegoroczne straty kapitału, okazuje się że same pożyczki zagraniczne, peruwiańskie, honduras, tureckie, egipskie etc. pochłonęły około 200 milionów; spadek wartości kolei żelaznych, licząc tylko 5 na 100 wynosi 20 milionów; upadek przemysłu angielskiego, 25 do 50 na 100, uczyni 500 do 700 milionów; obniżenie szacunku nieruchomości 15 do 20 na 100, wyniesie 400 do 600 milionów, razem 1,100 do 1,500 milionów. Suma to ogromna, i niepodobna, aby tak wielkie straty nie oddziałały odpowiednio na zmniejszenie wydatków wielu tysięcy rodzin. Najwyższa i średnia klasa są tak bogate iż mogą do pewnego czasu utrzymywać się na jednakowéj stopie, ale ogół ludności, a szczególniéj klasa robotnicza, cierpi już nader dotkliwie przez to sparaliżowanie handlu i konkurencyi zagranicznéj.

Najznakomitsi ekonomiści i uczeni angielscy, odbywają często narady w celu obmyślenia środków zaradczych i gruntownego zbadania przyczyn téj stagnacyi. Otóż na posiedzeniu Stowarzyszenia brytańskiego, profesor Jevous; *człowiek głębokiéj nauki*, oznajmił tryumfalnie: iż nareszcie odkrył powód wszelkich bankructw i klęsk finansowych jakie miały miejsce w roku 1878. Otóż zapewniał że wszystkie te plagi są spowodowane pojawieniem się pewnéj plamy na słońcu, i dowodził że ilekroć zaobserwowano tę plamę, któréj różnoczesne pojawianie się oznaczył jak najdokładniéj, zawsze podobne klęski finansowe były ,jéj następstwem. A więc nieszczęsna ta plama jest przyczyną wszystkiego złego. Ale za to z drugiéj strony, mówi p. Jevous, pojawieniu się téj plamy towarzyszy w ogóle wielki urodzaj zboża i bogate jego plony; jak to i w ubiegłym roku miało miejsce: szkoda tylko że nic to nie oddziałało na zmniejszenie ceny chleba.

Wiele z Czytelniczek „Tygodnika“ znają zapewnie poemat lorda Byrona p, n. *The Island* w którym opisuje on zajęcie wyspy Pitcairn przez Christian'a i jego wspólników. Otóż zapomniano prawie o jéj istnieniu, gdy wtem admirał Horsey, komendant wojennego okrętu *Shah* krążącego po wodach Pacyfiku, powziął myśl wylądowania na wyspę Pitcairn, pewnym będąc że nie znajdzie tam ani jednego mieszkańca. Jakież było jego zadziwienie gdy znalazł garstkę ludności żyjącéj według marzeń Tomasza Moore. Całe pokolenie oddziela nas od pierwszych mieszkańców téj wyspy; jest to rodzaj niedostępnéj skały leżącéj w pośród oceanu, między Fidżi a wyspami Faldklandzkiemi. Grunt ma tylko kilka stóp głębokości i tylko co lat dwa siać na nim można; ani źdźbło trawy nie pokrywa ziemi; mięso rzeźnicze jest tam zupełnie nieznane, a mimo to nieliczni mieszkańcy żyją nadzwyczaj długo. Nie ma tam adwokatów, sędziów ani policyi; domki są czyste, dość wygodne i dobrze przewietrzane; mieszkańcy nie używają żadnych mocnych trunków. Dzieci pobierają nauki według zasad tegoczesnych, od pastora i jego córki, i admirał Horsey niemało był zdziwiony, przekonawszy się iż umieją tyle co dzieci równego wieku uczące się w najlepszych szkołach.

Dzieje téj nowéj Atlantydy są nadzwyczaj zajmujące. Pitcairn dała przytułek zbuntowanéj osadzie okrętu angielskiego *Bounty*; wymordowali znaczną część załogi a kapitana i porucznika wrzucili do łodzi z workiem sucharów i baryłką wódki. Ulegając ich prośbie dali im mapę i to ocaliło im życie. Część zbuntowanéj załogi powróciła na wyspę Taiti inni osiedlili się na wyspie Pitcairn, tworząc tym sposobem osadę mogącą dziś pod wielu względami służyć za wzór krajom ucywilizowanym. Ale że nawet na skałach oceanu Spokojnego nie może być doskonałego na ziemi szczęścia, więc też i biednym wyspiarzom wiele do niego brakuje, a co najgorsze zagrożeni są głodową śmiercią. Obecnie wyspa nie jest w stanie wyżywić nawet swoich dziewięćdziesięciu mieszkańców. Powróciwszy do Anglii, admirał nader wymownie i rozrzewniająco opisał rozpaczliwe położenie tych nieszczęśliwych, zaklinając aby nie dozwolono wyginąć tak wzorowéj osadzie. Już w roku 1838 doszła do Londynu błagalna prośba tych nieszczęśliwych, a miłosierdzie publiczne tak szczodréj udzieliło pomocy iż ta wystarczyła im dotąd.

W owym także mniéj więcéj roku, rząd angielski chcąc skutecznie i stale dopomódz tym opuszczonym biedakom, dostarczył im środków dostania się na wyspę Norfolk, tego istnego raju pod względem klimatu i produktów przyrodzonych; ale na wyspie téj rząd utrzymywał długo niepoprawnych przestępców z pomiędzy deportowanych na Botany-Bay, i pozostały tam jeszcze tak widoczne ślady ich pobytu, iż musiało to zrazić ludzi tak dobrych obyczajów i tak szczerze pobożnych jak mieszkańcy Pitcairnu. Otoczeni nieznanem na ich brzydkiéj i nieurodzajnéj wyspie bogactwem płodów, w pośród wonnych pomarańcz i wyniosłych platanów, biedacy wymierali z nostalgii, do tego stopnia iż gdy nareszcie, uwzględniając ich prośby, rząd ułatwił im powrót na wyspę Pitcairn, już tylko czterdziestu zostawało przy życiu.

Licząc hojne datki sypane dla tych biedaków, można się przekonać że ogólna stagnacya w handlu i przemyśle, jakoteż klęski finansowe, nie wyziębiły serc angielskich.

Sezon sportu londyńskiego, to jest wyścigów i zakładów, zakończył się w r. z. ciekawem doświadczeniem, które zapisze się na kartach roczników gimnastyki. Mieszka w Londynie pewien baronet, nazwiskiem John Astley, podzielający zdanie Hudibras'a, że: ,,kto się bije a w złym razie ucieka, ten zostaje przy życiu i może znów stanąć do walki; kiedy przeciwnie ten kto woli zginąć niż ustąpić, nigdy już nie może walczyć w obronie ojczyzny.“ Otóż z téj zasady wychodząc, sir John jest zapalonym wielbicielem szybko-biegaczy, i przeznaczył 500 funtów szterlingów temu, kto w sześciu dniach przebiegnie 500 mil angielskich. Na wezwanie jego stawiło się niebawem dwudziestu czterech współzawodników. Wyścig miał się rozpocząć w poniedziałek. Wiadomo że w Londynie niedziela jest bardzo uroczyście obchodzona i święto kończy się dopiero o północy, co nie przeszkadza że wyszedłszy z kościoła tłumy biegną do szynków, które jednak z rozkazu policyi już o jedenastéj powinny być zamknięte. Podchmieleni lub pijani biesiadnicy wracać więc muszą do domów, gdzie najczęściéj następują dopiero bójki i kłótnie. Tym razem wbrew odwiecznéj tradycyi przekazywanéj z ojca na syna przez kilka pokoleń pijaków, jak tylko zamknięto szynki niezliczone tłumy pociągnęły drogą prowadzącą ku Islington, aby widzieć rozpoczęcie wyścigów.

Pierwsza po północy wybiła, i zaraz otworzono drzwi sali w któréj konkurs miał się rozpocząć; tłum wpadł do niéj, cisnąc się do estrady na któréj zasiadł sir John Astley, typ szlachcica wiejskiego, wysoki i barczysty, spasły i rumiany. Przed nim stali z uszanowaniem ubiegający się o wyznaczoną nagrodę, gotowi rozpocząć wyścig mogący przynieść im znaczną sumę albo może tylko zapalenie płuc lub jakąś nieuleczoną chorobę. Przybył umyślnie z Ameryki słynny szybkobiegacz Weston, chcąc probować szczęścia. Miał na sobie kurtkę aksamitną ze złoconemi guzikami, skórzane pantaliony traperów i czerwony pas; stał on na samym froncie. Sir John miał do nich następującą przemowę: „Naprzód chłopcy! Prasa będzie przeciwko wam występować, ale żartujcie sobie z dzienników i dziennikarzy, którzy, po większéj części, niewiele się znają na tem o czém piszą. Macie wolny wybór między uznaniem mojem a uznaniem dziennikarzy, a ponieważ wiem iż pragniecie mojego, powiem wam tylko: daléj! uciekajcie jak możecie najprędzéj!. Poczem klasnął w dłonie na znak rozpoczęcia wyścigu, i dwudziestu czterech współzawodników puścili się pędem, aby nie zatrzymywać się dłużéj przez całe sześć dni i sześć nocy. Amerykanin wycofał się już trzeciego dnia, i nagroda dostała się jakiemuś człowieczynie z pod ciemnéj gwiazdy, zupełnie nieznanemu dotąd na polu wyścigowem szybkobiegaczy. Podobne konkursa i nagrody tylko w Anglii lub Ameryce pojawić się mogą. Jednak oryginalny

ten konkurs przekonywa, że człowiek może znaleźć w sobie tyle sił aby przez sześć dni i nocy z rzędu, przebywał po kilkanaście mil już nie angielskich, co zdawałoby się niemożebnem.

Coraz więcéj rozkrzewiające się pijaństwo, dało powód do przedsiębrania wszelkich możliwych środków w celu powstrzymania rozwoju téj strasznéj demoralizującéj wady. Między innemi, we wszystkich dzielnicach Londynu, pozakładano kawiarnie dla robotników, w których nie przedają żadnych upajających trunków, kosztem bogatych kobiet litujących się nad niedolą swych biednych siostrzyc, cierpiących nędzę i poniżenie skutkiem pijaństwa mężów i ojców. Pierwsze otrzymane rezultaty, dozwalają spodziewać się coraz pomyślniejszych następstw. W ogóle jednak najwięcéj tu liczą na spodziewany przyjazd do Londynu znanéj w Ameryce pani Molloy. Pani ta, Irlandka rodem, odbyła osobliwszą wycieczkę w Stanach Zjednoczonych. Na wozie ciągnionym wołami, gdyż inny zaprząg nie nadawał się do ciasnych dróżyn w lesie, zatrzymywała się w każdéj wiosce, urządzając zaraz na wozie estradę dla siebie i sześciu pań zwykle jéj towarzyszących; wtedy zaczynały przygrywać na harmonijce i śpiewać pobożne pieśni. Na dźwięk muzyki i śpiewu liczne tłumy zbiegały się ze wszech stron a widok tego dziwnego ekwipażu, wysoko wyniesionéj estrady przybranéj chorągwiami i wstęgami, jakotéż uroczysty śpiew pań ubranych gustownie, wszystko to silne wywierało wrażenie na prostaczy umysł wieśniaków. Będąc już pewną silnego wrażenia wywartego na słuchaczach, pani Molloy kazała sobie podawać listę zakładów w których sprzedawano mocne trunki, i zaraz wóz jéj zwracał się ku najbliższemu z nich; dojechawszy zatrzymywała się przed samemi drzwiami. I znów zaczynały się śpiewy i muzyka, po któréj następowała modlitwa z współudziałem obecnych, którzy padając na kolana na środku drogi, w największem skupieniu ducha słuchali słów kaznodziejki. Deszcz, wicher, ani burza nawet nie zdołały jéj skłonić do przerwania kazania, które wypowiadała z coraz większym zapałem, aż dopokąd właściciel szynku, czy z przekonania czy z obawy uniesionych tłumów a szczególniéj kobiet, nie zamknął drzwi i okiennic swego sklepu. Wtedy wóz oddalał się zwolna, zmierzając do drugiego szynku, gdzie taż sama rozpoczynała się scena z takimże samym skutkiem. Utrzymują że tym sposobem pani Molloy dokazała tego iż w wielu miejscowościach pokasowano zakłady mocnych trunków, czy tylko nie otworzono ich po jéj oddaleniu? Zobaczymy jaki wpływ potrafi wywrzéć w Anglii, gdzie nie mogąc, z obawy uliczników, jeździć na wozie przybranym w chorągwie, postanowiła obchodzić piechotą zakłady znane z największego wyszynku upajających trunków.

Za przykład jak publiczność angielska gorąco łaknie poznać pobudki postępowania swoich znakomitych mężów Stanu, służyć może gorączkowa ciekawość z jaką rozchwytano dziełko p. F. Hitchman *Publiczne życie lorda Beaconsfield.*

Lord Beaconsfield zaczął obecnie 74 rok życia, a od pierwszéj młodości ciągle, że tak powiem stał na widoku. Mając lat dwadzieścia cztery, napisał znany swój romans *Vivian Grey*, utwór nie mający dotąd równego sobie jako romans polityczny. Gdy romans ten wyszedł z druku, czytająca publiczność nie wątpiła, że autor „Young Ben“ syn słynnego w swoim czasie Izaaka Disraeli, w głównym bohaterze odmalował siebie, tak pod względem fizycznym jak moralnym. Od owéj chwili „Young Ben“ prawie nie schodził ze sceny i rola jego ciągnęła się przez pięćdziesiąt lat, aż do chwili gdy przestawszy występować jako „Young Ben“ budzący zajęcie swoim talentem literackim, ukazuje się jako hrabia Beaconsfield, par Anglii, pierwszy minister królowéj Wiktoryi.

Zdaje się że powodzenie premiera opiera się na tych samych zasadach jakiemi rządził się Talleyrand. „Wszelka polityka i wszelka sprawa są lub mogą być dobre. Nie należy nigdy opuszczać życia publicznego jak chyba żeby powrócić do niego boczną drogą: jest to pewny sposób aby pierwszym stanąć u celu.“ Lord Beaconsfield kilka spraw w życiu swojem z jednakim prowadził zapałem i gorącem przekonaniem, i jednego tylko poważnego napotkał przeciwnika: nieubłaganego O'Counell'a, ale ten był dość silnym aby zachwiać powodzenie przeciwnika, w jednym z licznych jego zatargów elektoralnych. O'Counell był jednym z tych ludzi których doktór Johnson otaczał uwielbieniem, uważając że „człowiek umiejący nienawidzieć“ jest doskonałym przedstawicielem siły charakteru i godności ludzkiéj.

W najdokładniejszym słowniku przekupek nie znalazłby okropniejszych wyrażeń i nazw, jak te któremi traktowali się wzajemnie obaj współzawodnicy. Kłótnie ich i wymysły zapisały się w rocznikach parlamentarnych. O'Counell, który jak wiadomo nie dobierał słów i zarzucał przeciwnika najuszczypliwszemi, najzajadliwszemi przycinkami i niedorzecznościami, tak zakończył jedną z mów swoich: „Wiem że słowa moje są ostre i nieparlamentarne, i winienem za to panów przeprosić; zarazem jednak muszę wyznać, iż dlatego jedynie poprzestałem na nich, że nie znalazłem w angielskiéj mowie silniejszych ani zjadliwszych. Bo i gdzież szukać wyrażeń zdolnych wykazać najgłębszą pogardę jaką przejęty jestem dla podobnych nędzników. Jako najnieczniejszy samolub i kłamca, Disraeli godzien jest być przywódzcą zacofanych konserwatystów. Nazwisko jego zdradza pochodzenie żydowskie; dla doczesnych interesów, ojciec jego się przechrzcił, nie wiem jak mu to tam policzono na tamtym świecie. Nikt zapewnie nie przypuszcza iż wyrzucam Disraeli'emu że się urodził żydem, bo wszakże był to naród wybrany od Boga, alež od najdawniejszych czasów znajdowali się między nimi największe łotry, i od nich to zapewnie pochodzi Disraeli. Odznacza się on wszystkiemi cechami złego łotra ukrzyżowanego jednocześnie z Chrystusem; historya nie przechowała jego nazwiska, ale niezawodnie musiał on nazywać się Disraeli. I tylko na mocy przekonania że obecny Disraeli jest potomkiem jego w prostéj linii, mogę mu przebaczyć.“

Oto próbka stylu jakim posługiwał się O'Counell w swoich polemikach. Łatwo sobie wystawić jakie wrażenie podobna mowa wywarła na publiczności angielskiéj. Czekano z gorączkową niecierpliwością odpowiedzi wykwintnie wychowanego gościa najarystokratyczniejszych salonów; co też odpowie temu irlandzkiemu prostakowi? pytano. Disraeli chcąc się pomścić za wyrządzoną przez O'Counell'a obrazę, wyzwał na pojedynek syna jego Morgana O'Counell, ponieważ ojciec z powodu iż zabił w pojedynku swego przeciwnika, przysiągł sobie nie pojedynkować się nigdy. Morgan nie chciał przyjąć wyzwania, jak tylko pod warunkiem że będzie ono następstwem zniewagi osobistéj, jaką postara się wyrządzić mu publicznie. Disraeli nie chciał przystać na podobny warunek, i odpowiedział przeciwnikowi uszczypliwie ale zimno i grzecznie, a mowa jego wydała się nader bladą i nieefektowną odnośnie do namiętnego przemówienia jego przeciwnika. A potem, między napaścią a odpowiedzią dość znaczny czas upłynął: zainteresowanie się publiczności ochłodło, a dziś z całéj téj kłótni przechowało się tylko wspomnienie przyrównania premiera do złego łotra, przytaczane często przez współziomków O'Counell'a, jako jedno z najświetniejszych jego wystąpień

Ta biografia człowieka żyjącego jeszcze, jest jednym z ciekawych tegoczesnych utworów literackich. Chociaż widać że p. Hitchman starał się pisać sumiennie i ze znajomością przedmiotu, trudno jednak nie przypuszczać żeby stanowisko pierwszego ministra nie wpłynęło nic na przekonania autora, i aby nie starał się osłaniać błędów i pomyłek politycznych swego bohatera, a natomiast nie podnosił powodzenia i zasług.

Z powodu żałoby dworskiéj w skutku śmierci księżnéj Alicyi, nie dopuszczającéj zabaw prywatnych w wyższych sferach, piękny świat tłumniéj jak kiedykolwiek uczęszcza do teatru. Wszyscy cieszą się że słynny, ulubiony tragik londyński powrócił z Ameryki, i słusznie, bo równego mu artysty nie ma pewnie obecnie na świecie. Został on obecnie administratorem i pierwszym tragikiem teatru *Lyceum*, i zamierza urządzić go na wzór paryzkiego *Théatre Francais*, i przedstawiać w nim tylko arcydzieła Shakespeare'a, Sheridan'a, Goldsmith'a, Coleman'a i klasycznych autorów tegoczesnych.

Wielkiem, zastraszającem dla dramaturgów z profesyi powodzeniem, cieszy się tu utwór amatorki, damy wielkiego swiata, pod tytułem *Małżeństwo republikańskie.* Komedya ta jest pierwszą próbą dystyngowanéj autorki. Oto pokrótce treść.

Młoda dziewczyna ucieka z klasztoru na który napadła zacięta banda rozwścieczonych *sans culottów*; lecz nim zdołała znaleźć gdzie schronienie, została przez nich schwytaną. Już miano wrzucić ją do wody i utopić, gdy młody jakiś robotnik mularski żąda aby mu ją wydano, mówiąc że pragnie ją poślubić. Puszczają ją tedy pod warunkiem że zaślubi mularza, i ten uprowadza ją do swéj izdebki na poddaszu. Tu ma miejsce bardzo rzewna i piękna scena. Robotnik otacza młode dziewczę opieką i szacunkiem, a to szlachetne postępowanie, zjednywa mu jéj serce; pokochała go całą duszą i gdy po zażegnaniu burzy rewolucyjnéj, powróciła do domu ojca, wierna swéj miłości odmawia najbogatszych, najświetniejszych partyi. Czytelnicy domyślają się zapewnie, że pod postacią robotnika mularskiego, ukrywał się młodzieniec wysokiego rodu, margrabia de Fontenay, ten właśnie za którego ojciec pragnął ją wydać, i który tylko chcąc ocalić królowę, podawał się za mularza. Komedya kończy się tedy już nie republikańskiem małżeństwem.

T. C.

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Pochodzenie Węgrów nie pozostawia już dzisiaj najmniejszéj wątpliwości. Należą oni jak powiedzieliśmy do działu ludów turańskich rozpadającego się na cztery główne gałęzie: Mongołów, Mandchoux, Turków i nareszcie Finnów. Do téj właśnie ostatniéj gałęzi należą Węgrzy w raz Finnami, Permami i Bulgarami. Pochodzenie Węgrów z rodziny ludow turańskich, ich blizkie pokrewieństwo z Finnami, stwierdzone było przez Klapreth'a i Balbi, a poprzednio jeszcze przez dwóch uczonych węgierskich Sainowies i Gyamarthy. Ze swéj strony

pan Sayous przytacza nowe ze swéj strony dowody, tak że rodowód Węgrów można uważać za stwierdzony ostatecznie.

Jeszcze w wieku IX zajęli Węgrzy kraj jaki dotychczas zamieszkują. Długi czas wiedli oni żywioł koczujący pomiędzy Uralem Wołgą i Dniestrem, nie mając stałego siedliska. Arnoulf cesarz niemiecki pierwszy zawiązał z nimi bliższe stosunki, namawiając do napadnięcia na królestwo Morawskie którego niepodległość i potęga była nienawistną dla tego monarchy. Węgrzy usłuchali danej im rady, zniweczyli niepodległość Słowiańskiego państwa, a następnie osiedli na obydwóch brzegach Dunaju zajmując rozległe okolice bo aż do Raab i Morawy. Najdawniejszy ich kronikarz Jan Thuroes czy też Thuoroezy, wskazuje dokładnie pobudki nakłaniające ich do zajęcia téj a nie innéj krainy.

— Powziąwszy wiadomość od mieszkańców, mówi on, że ziemia w okolicy Dunaju jest nadzwyczajnie żyzna, woda w téj rzece doskonała, a i kraj cały niezrównanéj piękności na całym świecie, Węgrzy wysłali Kusida syna Kunda aby sprawdził na miejscu te wszystkie okoliczności, a zarazem poznał bliżéj tamtejszych mieszkańców. Kusid przybywszy na miejsce dotarł aż do Dunaju i widział wszędzie piękne wioski, żyzną ziemię i wspaniałe łąki położone z dwóch stron Dunaju. Kusid zaczerpnął w butelkę wody z rzeki, a schowawszy do torby pęczek trawy i garść ziemi, wrócił do swoich. Uskutecznione przez niego opowiadanie spodobało się nadzwyczajnie jego towarzyszom, a skoro skosztowali wody, *trawy i ziemi* uznali opisywaną krainę jako posiadającą wszelkie warunki do łatwego wyżywienia się. Arpad wódz otoczony przez starszyznę zaczerpnął wody w róg, i począł odmawiać modlitwę prosząc Wszechmocnego aby tak bogata ziemia oddaną była Węgrom w posiadanie na wieczne czasy. Skoro skończył, wszyscy Węgrzy krzyknęli: Bóg, Bóg, Bóg! co aż do dziś dnia jest okrzykiem narodowym.

Zrobiony wyjątek z kroniki, przypomina owych dwunastu wysłanników Mojżesza mających zwiedzić ziemię Chanaan jakoteż uniesienie Hebrajczyków skoro zobaczyli tam winne latorośle. Ludy zaborcze bez względu na stopień szerokości geograficznej są wszędzie do siebie podobne, obchodzą ich żyzność ziemi i jéj płody, ale nie pytają wcale o zezwolenie dawniejszych posiadaczy ziemi. Los podbitych wcześnie został roztrzygnięty, po ostatecznem zwycięztwie zostaną niewolnikami niewolonemi w pocie czoła pracować dla dobra swoich panów.

Wedle pana Sayous dzieje Węgier podzielić można na cztery odrębne okresy. Pierwszy od roku 894 do roku 1000 odznaczony jest walką pogaństwa z chrystianizmem; drugi od roku 1000 do 1300 jest epoką rozszerzenia granic i urządzenia wewnętrznego Węgier: w owym to czasie zamiera dynastya narodowa Arpada będąca głównym motorem wielkości tego państwa; w trzecim okresie od roku 1300 do 1526 osłabione Węgry tak na wewnątrz jakoteż na zewnątrz, przechodzą pod władzę różnych dworów ościennych: w czwartym nareszcie od roku 1526 do 1878 potężny niegdyś kraj podpada w niewolę austryacką aż nareszcie w ostatnich czasach na zasadzie dobrowolnéj ugody staje na równi z dawnym ciemięzcą.

Niepodobna dawać obrazu całéj historyi Węgier, przedmiot ten w największém nawet skróceniu byłby jeszcze za obszerny, poprzestaniemy więc na wskazaniu ogólnem znaczenia politycznego Węgier jakoteż usług przez nich oddanych sprawie cywilizacyi.

Węgrzy nietylko zniszczyli potężne państwo Morawskie ale nadto osiadając w pośród Słowian południowo-zachodnich przeszkodzili im stanowczo do zjednoczenia. Cesarstwo Niemieckie miało ułatwiony zabór i wynarodowienie dopóki z kolei same Węgry nie stały się ofiarą błędnéj polityki. Znakomity historyk czeski Palacky wyraża się w następujący sposób o téj epoce:

„Najazd Węgrów wywarł na dalszy rozwój naszéj rasy wpływ najzgubniejszy. Plemiona słowiańskie rozciągały się od Holsztynu aż do Peloponezu, a jakkolwiek nie połączone z sobą i różnych obyczai, jednak były wszędzie wielką żywotnością i posiadały wszelkie warunki do przyjęcia cywilizacyi. Świątopełk Książę Morawii rzucił podstawy wielkiego państwa, które mogło było być wytworzonem pod wpływem cesarstwa wschodniego, tak jak dawne cesarstwo zachodnie dało początek monarchii Franków zbudowanéj przez Karola Wielkiego. Przybycie Węgrów w pośród kiełkującego organizmu zniweczyło te nadzieje.

Pan Palacky widocznie należał do liczby historyków chcących zmienić ogólny bieg dziejów, które jednak ulegają prawom niezłomnym. Dla mrzonek wyobraźni rozdrażniał wzajemną nienawiść Czechów i Węgrów. Kiedy właśnie dobrze zrozumiany interes powinienby ich nakłaniać do zgody i zapomnienia dawnych uraz.

Do charakterystyki Węgrów należy z jednéj strony zamiłowanie wolności, a z drugiéj duch konserwatyczny rozwinięty do najwyższego stopnia. Nowe podobieństwo potomków dawnych Hunnów z rasą Anglo-saksońską, dawne zwyczaje, prawa, tradycye są dla Węgrów świętością niewzruszoną. W czasie powstania w roku 1848, jakoteż w czasie późniejszych sporów legalnych z Austryakami aż do ugody zawartéj w roku 1867, wzmiankowana Bulla Złota wydana przez Andrzeja w r. 1222 przytaczaną była jako prawo zasadnicze niczem nieosłabione. Konstytucya ta jednak jakkolwiek zabezpieczająca prawa szlacheckie, nie wspomina nigdzie o warstwach niższych, a szczególniéj o ludzie wiejskim. Widocznie w téj mierze nasz Kazimierz Wielki był lepszym i sprawiedliwszym politykiem od Andrzeja węgierskiego.

Naród ten zaraz w początkowym swym rozwoju politycznym na podstawach konstytucyjnych, powołanym został do stoczenia strasznéj choć krótkiéj walki z Mongołami, którzy po ujarzmieniu dawnego księztwa Moskiewskiego i przejściu przez dawną Polskę jak uragan niszczący wszystko, przyszli z kolei rozbić się o dzielne zastępy węgierskie. Wątpimy bardzo czy południowi zachodni Słowianie nawet w zjednoczeniu, byliby w stanie stawić czoło temu najazdowi, zdolnemu obrócić w perzynę całą Europę. Z tego stanowiska uważane posłannictwo Węgier było nadzwyczajnie krwawe i mozolne, po upadku bowiem dawnego cesarstwa Wschodniego, narażeni byli na ustawiczne ciosy Turków, nie mających innego pola do walki z cesarstwem niemieckiem prócz posiadłości węgierskich.

Ustawiczne te jednak walki osłabiły nadzwyczajnie Węgrów, zmniejszając ich ludność i pozbawiając dawnego dobrobytu. Ówczesna polityka austryacka dążyła systematycznie do wywołania takiego stanu rzeczy, pozostawiając zazwyczaj Węgrów osamotnionych w walce z tyle przeważnym przeciwnikiem. Klęski i nieszczęścia publiczne idą zazwyczaj w parze z niezgodą, sprowadzającą konieczny upadek kraju. Cesarze niemieccy przez kilka wieków usiłowali wynarodowić Węgrów, i dopiero w ostatnich czasach doznane klęski zniewoliły ich następcę, do uznania dawnéj polityki za błędną i zmienienia takowéj. Ostateczny też okres obejmujący przeszło trzy wieki, od roku 1526 do 1878, jest najlepszym dowodem wytrwałości i wysokiego rozumu politycznego Węgrów. Największe klęski i prześladowania z jednéj, namowy i schlebiania z drugiéj strony, nie potrafiły ich strącić z drogi raz obranéj, dążenia do samorządu na podstawach odwiecznéj Bulli Złotéj. Pokolenia przechodziły za pokoleniami, ucisk był coraz sroższym, wielcy politycy innych narodowości śmieli się z upartych Węgrów nie chcących zapomnieć przeszłości, wypadki jednak przyznały im słuszność. W trzysta kilkadziesiąt lat po upadku, Węgry przywrócone zostały do właściwego im stanowiska politycznego. Historya jednak, z któréj robimy sprawozdanie, dochodzi jedynie tylko do roku 1848, a tem samem tak powstanie jakoteż późniejsze układy z dworem austryackim, nie zostały jeszcze opisane. Wedle pana Sayous żyją jeszcze ludzie polityczni z téj epoki, posiadają oni wiele tajemnic które dopiero w przyszłości będą odkryte, a tem samem opisywanie ostatnich wypadków byłoby jeszcze przedwczesne. Niewątpliwie w téj mierze autor jest najlepszym sędzią, w każdym jednak razie wyrażamy życzenie aby dzieło tyle nauczające było skończonem. W obecnym swym stanie praca pana Sayous jest podobną do rośliny bez kwiatu, którym niewątpliwie w dziejach węgierskich są czasy ostatnie, wynagradzające Węgrów za wszystkie doznane przez nich krzywdy i prześladowania.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

Stopniowa droga do książki czyli ułatwiony sposób nauki czytania, pisania, rysunku i pierwszych zasad pisowni, przez *Wincentego Trybulskiego* (z 245 drzeworytami w tekście i wzorami rysunkowemi i kaligraficznemi. Tegoż autora *Ruchome abecadło* (Pudełko z literami naklejonemi na tekturkach kolorowych. Warszawa 1878 r. nakład autora.

Niewielka to sztuka nauczyć dziecko abecadła; każda *piśmienna*, a nawet czytająca tylko osoba z łatwością tego dokonać może, ale nauczyć czytać, to już rzecz inna, nieco trudniejsza, albo raczéj bardzo i bardzo trudna, zwłaszcza, jeżeli się trzymamy staréj rutyny sylabizowania.

Sylabizowanie, albo zgłoskowanie oddawna zastąpiła metoda tak zwanego niekiedy doraźnego czytania.

Dlaczego jednak w wielu dotąd miejscach męczą siebie i dzieci owem nieszczęśliwem sylabizowaniem, odpowiedzieć nie umiemy, a przecież przedstawia ono w naszym języku niesłychane trudności, choćby już dla tego, że do wydania jednego dźwięku potrzebujemy często dwóch, trzech albo i czterech liter. Jedyną podobno będzie tu przyczyną to, że tak dzieci uczymy, jak nas nauczono.

A więc nie mamy uzdatnionych i przygotowanych należycie nauczycieli i nauczycielek.

Aby zaradzić temu złemu, które w samym zarodku tamuje postęp oświaty, mianowicie po wsiach, ludzie dobréj woli oddawna wydawali i wciąż wydają, szczegółowe objaśnienia i odpowiednie abecadłniki (elementarze), ułatwiające naukę czytania. Przed stu laty przeszło (1775 r.) *Komisya edukacyi narodowéj* wielkie w tym względzie położyła zasługi, tak przez swoje instrukcye, jako też przez odpowiednie wymaganiom pedagogicznym książki...

W Galicyi i Poznańskiem oddawna używane są elementarze ułożone według poglądowéj nauki, u nas przecież, pomimo wybornych abecadlników

Jeskiego, Kamińskiego, Promyka i w. i. stara rutyna przemaga.

Jedną z najlepszych, zwycięzko przeciw niéj powstających książek, jest *Stopniowana droga do książki* etc. przez Wincentego Trybulskiego. Autor zużytkowawszy wszystkie dotychczasowe pedagogiczne nabytki, systematycznie rozwinął swoją metodę, z gruntowną, widocznie na praktyce opartą znajomością przedmiotu. Chcąc jednak należyty z niéj odnieść pożytek, uczący winien *wprzód* odczytać *objaśnienia*, stanowiące większą połowę książki, o któréj mówimy, dobrze przejąć się niemi, a dopiero potem zająć się dzieckiem. Te objaśnienia stanowią najważniejszą część pracy autora, bo w niéj tłomaczy, jakim sposobem i dlaczego naukę rysunku i pisania łączy z nauką czytania; dlaczego przechodzi najprzód samogłoski, a potem spółgłoski i w bardzo trafny sposób dokonywa ich podziału, trzymając się gramatyki Małeckiego. Na pierwszy rzut oka niejedna nauczycielka lub nauczyciel przestraszy się tylu nagromadzonemi trudnościami, lecz wszystkie one znikną i rzecz się rozjaśni, gdy z uwagą i zrozumieniem odczytają raz i drugi owe objaśnienia.

Jakby dopełnieniem, stanowiącem z *Drogą do książki*, całość pewną, jest *Ruchome kolorowe abecadło*, z którego pomocą dziecko, prawie bawiąc się, nauczy się nietylko czytać, ale znać będzie wybornie spółgłoski twarde i odpowiednie im miękie, mocne i słabe i t. d. o których osoby dorosłe, a nawet wykształcone, mają niejasne albo fałszywe pojęcie. A przecież jest to rzecz niemałéj wagi, bo nam wyjaśnia i tłomaczy prawidła etymologii i ortografii, i to nie w sposób mechaniczny, ale racyonalny. Uczeń będzie pisał dobrze, i wiedział dla czego tak, a nie inaczéj pisać powinien.

Abecadło Ruchome składa się z trzech przegródek, w których mieszczą się litery duże i małe odciśnięte na papierze koloru białego, różowego i zielonego.

1-a przegródka zawiera Samogłoski wszystkie, tak nosowe jak i ścieśnione.

2-a Spółgłoski twarde.

3-a Odpowiednie im miękie. Prócz tego znajdują się przegródki ze znakami pisarskiemi.

Praca p Trybulskiego, ze wszystkich wydawnictw, które się w ostatnich czasach pojawiły jest najkompletniejszą i najstaranniéj ułożoną, słusznie téż pozyskała pochwałę na zeszłorocznéj Wystawie Paryzkiéj. Książka i Abecadło ruchome p. Trybulskiego jedną mają wadę, że są trochę za drogie, gdyż musiały zapewne niemałe koszta za sobą pociągnąć, przez co stały się nie dla wszystkich przystępne. Mamy jednak nadzieję, że drugie wydanie, po rozejściu się pierwszego, będzie nierównie tańszem, a tem samem większego doczeka się upowszechnienia.

J. P.

Czytelnia publiczna.

Pod tytułem Warszawskiéj Biblioteki Słowiańskiéj, otworzoną została przez p. S. Czarnowskiego czytelnia publiczna przy ulicy Chmielnéj Nr. 8. Zadaniem jéj według przysłanego zawiadomienia ma być:

1) Wypożyczać książki do czytania za zwykłą opłatą.

2) Informować i wysyłać książki osobom pragnącym zakładać czytelnie na prowincyi.

3) Obok własnych zbiorów etnograficznych będzie przyjmować komisowo na sprzedaż rzadkości bibliograficzne, rękopisma, przedmioty sztuki i starożytności.

Obok tego Zarząd osobom pragnącym zakładać na prowincyi czytelnie udzielać będzie objaśnień, zajmować się kupnem, przesyłką książek i oprawą tychże. Na utrzymanie czytelni lub księgarni pozwolenie ma się z łatwością otrzymywać od właściwego gubernatora.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w drugim kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju, w kwartale II roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

ZAWIADOMIENIE

Do WW-ych Pań Obywatelek Ziemskich

Nowo założony Sklep pod firmą:

„PRODUKTA SPOŻYWCZE”

przy rogu ulic Chmielnéj i Zgoda N. 1.

Przyjmuje w komis do sprzedania, wszelkie artykuły spożywcze wiejskie, jak masło, sery, wędliny, drób, zwierzynę, i wszelkie konserwy. Prosi więc życzących sobie wejść w te stosunki handlowe, o skomunikowanie się.

Do tegoż Sklepu nadchodzi dwa razy w tydzień masło świeże funt po kop 45.

Ottomar Wolle.

Jeometra Przysięgły w Kaliszu,

wydał plany miasta Kalisza z lat: 1785, 1825 i 1878. Nabywać można w kaliszu w mieszkaniu wydawcy: Rynek dom Wilkanowicza N. 24, oraz w Warszawie w księgarni pp. Gebethnera i Wolffa. Cena kompletu rs. 4.

Przyjaciela Dzieci Nr. 12 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Ojcem (z drzeworytem). — Ladakh w dolinie Kaszmiru (z drzeworytem). — Marek Jakimowski. w Dodatku: Odrodzony.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 11 wyszedł z druku i zawiera:

O koniach.—O uprawie maku, łogowy, maziczki, i wyrabianiu z nich oleju. — Przegląd pism rolniczych zagranicznych. — Kronika rolnicza. — Wiadomości krajowe, handlowe i rozmaitości.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.
na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.

Adres: Do Redakcyi **Tygodnika Rolniczego** *w Warszawie Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 6 Марта 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 12, r. 1879.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

Powyższa przestroga nie zadziwiła jéj tak bardzo; już od pewnego czasu była do niéj poniekąd przygotowaną, bo nie uszło to jéj uwagi że pan Lydney już prawie tylko w jéj domu był przyjmowanym. Nawet jéj własna ufność była już trochę zachwiana, i jakieś wątpliwości zaczęły powstawać w jéj umyśle; nie mogła jednak powstrzymać lekkiego westchnienia—może z żalu za utraconém złudzeniem—przyrzekając panu Lester że zastosuje się do jego rady.

Przez parę dni nie miała sposobności dotrzymać słowa, bo pan Lydney nie zjawił się wcale. Przyszedł dopiero tegoż samego dnia rano, kiedy pan Blair znajdował się w biórze policyi.

„Miss Bordillion wyszła, rzekła do niego służąca, Mary, rumieniąc się przy tém silnie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, miss Bordillion zbliżyła się jednocześnie do okna, znajdującego się o parę tylko kroków od drzwi wchodowych, pan Lydney spojrzał na nią, a następnie na służącą.

„Cóż to za dziwne prawisz mi historyjki? zapytał z uśmiechem.

— To nie moja wina, panie; spełniłam tylko wydany mi rozkaz.

— Jakto! miss Bordillion nie kazała mnie przyjmować?

— Tak, panie. Przykro mi bardzo że jestem zmuszona spełnić podobne polecenie.

Wydarł kartkę z pugilaresu, napisał kilka słów, i prosił aby oddała to natychmiast pani; *Pozwól pani abym z nią pomówił przez kilka minut. Proszę o to usilnie.*

Miss Bordillion uznała że nie ma znów powodu odmawiać mu téj ostatniéj i krótkiéj rozmowy.

„Dziękuję szczerze że pani raczyła przychylić się do méj prośby, rzekł podając jéj rękę, którą ona przyjęła jak zwykle, widziałem aż nadto dobrze, iż od paru już tygodni straciłem łaski u mieszkańców Danesheldu, ale miałem nadzieję że pani przynajmniéj, miss Bordillion, nie będziesz podzielać niesłusznych uprzedzeń. Postępowałaś pani ze mną zawsze jak z przyjacielem, zechciéj i teraz postąpić tak samo. Niech mi pani powie, jeżeli to być może, jakież to o mnie krążą pogłoski i co mi zarzucają?

Miss Bordillion, zmieszana, nie śpieszyła się z odpowiedzią.

— Zapewne pani wiadomo, że pan Lester wczoraj pokazał mi drzwi u siebie, mówił daléj Lydney, widząc że mu nie odpowiada.

Miss Bordillion skinęła twierdząco głową.

— Pytałem go o powód tak ciężkiéj zniewagi, ale nie chciał mi go objawić. Wczoraj spotkałem na ulicy kapitana Duff idącego z żoną, udali że mnie nie widzą; kiedy późniéj chciałem się dowiedzieć od kapitana jakie były tego powody, dał mi grzeczną ale wymijającą odpowiedź. Mam jednak prawo, o ile mi się zdaje, wiedzieć co to wszystko znaczy, i dla tego odwołuję się do pani, miss Bordillion. Jeźli się kogoś potępia, przynajmniéj wypada mu powiedzieć o co jest oskarżony.

— Krążą o panu jakieś niepewne pogłoski, domysły i wieści, i byłoby niewłaściwie z mojéj strony gdybym udawała że nie doszły i do mnie, odpowiedziała nakoniec; ale zdaje mi się że od pana tylko zależy przeciąć je raz na zawsze.

— Jakim sposobem?

— Sądzę że powinienbyś pan powiedzieć otwarcie, kim jesteś rzeczywiście. Oświadczyłeś pan że pochodzisz z pięknéj familii, z familii zajmującéj w Anglii wysokie stanowisko. Co do mnie, uwierzyłam temu, i jestem pewna że inni temu uwierzyli. Jednak czas upływa, a nie dajesz pan żadnego na to dowodu.

— Aha! rozumiem, zawołał Lydney, tak wesołym tonem że aż zrobiło to przykre wrażenie na miss Bordillion, przeglądali wszystkie czerwone księgi oraz listę parów i baronów Anglii, szukając w niéj nazwiska Lydney'ów.

— Tak mi się zdaje, ale nie powinnoby pana dziwić; gdybyś nie powiedział że ojciec twój pochodzi z jednéj z najpierwszych rodzin, nie podniesionoby téj kwestyi. Nikt się nie dopytuje o herby, Amerykanina.

— Kto najpierwszy podniósł tę wątpliwość?

— Nie wiem.

— Domyślam się że lord Dane. Miss Bordillion, nigdy nie przypuściłbym tego że pani wypowie mi swój dom.

— Nie mogę uczynić inaczéj, rzekła, niezadowolona z téj rozmowy, a jednak przekonana że trzeba raz wytłomaczyć się szczerze; niepodobna mi wystąpić otwarcie do walki ze wszystkimi; a powtóre nie przebaczonoby mi tego nigdy w Daneshed-Hall.

— A! odpowiedział z przyciskiem, wiem że prócz innych strasznych zbrodni jestem jeszcze oskarżony o chęć zagarnięcia majątku miss Lester!

— Od kogo to pan słyszałeś? zapytała zadziwiona.

— Tak, utrzymują że chcę skłonić miss Lester do tajemnego małżeństwa, ażeby zagarnąć jéj trzydzieści tysięcy funtów, mówił daléj Lydney wymijając pytanie. Mogę panią zapewnić, miss Bordillion, że jeżeli się ożenię, mało mnie to obchodzić będzie czy moja żona wniesie mi trzydzieści tysięcy czy trzydzieści funtów posagu.

— Proszę pana, nie mówmy już o tém, zawołała. Co do mnie, nie mogę panu nie ufać, jest w panu coś takiego czego określić nie umiem, co mnie pociągnęło od pierwszéj chwili i dotąd jeszcze pociąga, ale zastanów się pan dobrze, a sam przyznasz że mi niepodobna występować do walki ze wszystkimi, przyjmując pana i nadal u siebie. Gdyby pan był mniéj tajemniczym pod względem swoich stosunków, zmieniłoby to zupełnie postać rzeczy. Będąc na twojém miejscu, panie Lydney, dodała wstając i podając mu rękę, jakby dla okazania mu że już czas się rozłączyć, nie bawiłabym już dłużéj w Danesheldzie.

— To dowodzi jak dalece pani podziela ogólne przeciwko mnie uprzedzenia. Nie mam pani tego za złe, miss Bordillion, i nie będę pani natrętnym dłużéj; ale pozwól mi cieszyć się nadzieją że przyjdzie czas w którym pani dozwolisz mi znów przestąpić swe progi, i powitasz równie życzliwie jak dawniéj.

Uścisnął jéj rękę i wyszedł. Zdawało się że miss Bordillion odetchnęła swobodniéj. Może nie wiedząc sama dobrze co czyni, zasunęła na zasuwkę drzwi od salonu. To uderzyło ją najgłówniéj, że nie tylko nic się nie usprawiedliwiał i nie okazał najlżejszego zmieszania, ale przeciwnie nigdy jeszcze nie zdawał się swobodniejszym i pewniejszym siebie.

Wychodząc z kotażu, spotkał miss Lester przy drzwiach wchodowych; służąca zdawała sprawę z tego co przed chwilą zaszło. Zbliżył się do niéj bez wahania, prosił o chwilkę rozmowy, i nie dając czasu na odpowiedź, pociągnął z sobą do małego pokoiku, gdzie dawniej wraz z Edytą zasiadały do lekcyj.

„Maryo, odezwał się, nazywając ją po raz pierwszy po imieniu, muszę twą przyjaźń, twą ufność we mnie wystawić na próbę. Krążą o mnie krzywdzące pogłoski; zarzucają mi że nie jestem tym za co się podaję, że nie jestem gentlemanem, że przeciwnie, jestem człowiekiem podejrzanym, nawet awanturnikiem. Czy wierzysz temu?

— Nie, odpowiedziała spokojnie zwracając na niego pełne ufności spojrzenie.

— Jeżeli mam względem kogoś obowiązek odeprzéć te zarzuty, to tylko względem ciebie jednéj, miss Maryo; a jednak nie mogę się usprawiedliwić, nie nadeszła jeszcze stanowcza chwila. Czy zechcesz zaczekać jeszcze czas jakiś i nie powątpiewać o mnie?

Już tylko spojrzała na niego, nie mówiąc ani słowa, ale w tém spojrzeniu tyle było ufności i nadziei, że uścisnął jéj ręce z głębokiém wzruszeniem.

„Oskarżają mnie także wśród wielu innych rzeczy, że staram się pozyskać serce miss Lester aby zabrać jéj majątek. Nie mogę wiedziéć czy w sercu miss Lester mieści się trochę życzliwości dla mnie, ale mogę wyznać z całą szczerością, że moje całkiem do niéj należy. Dziś nie wolno mi powiedzieć więcéj; dodam tylko że kiedy stanę przed panem Lester—skoro na to pozwolą okoliczności—aby go prosić o rękę jego córki, przekona się że tak pod względem urodzenia jak i majątku jestem mu, co najmniéj, równym... Czy cię to gniewa, miss Maryo, że tak mówię do ciebie? zapytał z żywością, gdy starała się wysunąć swą rękę.

Nie, nie gniewała się wcale. Tylko trudno jéj było pokryć wzruszenie, uciszyć uderzenia serca wywołane wyznaniem które usłyszała, i łzą zroszone jéj rzęsy, spadały na pałające policzki.

Ten awanturnik, jak go wszyscy nazywali, stał przy niéj, mówił o połączeniu się dozgonnym węzłem, a ona czuła że go kocha i zawsze kochać będzie, pomimo wszystkiego co o nim mówią.

„Do tego czasu będziesz mi wierzyć, wszak prawda? szepnął z wyrazem najżywszéj czułości.

I znów odpowiedziała mu tylko spojrzeniem, ale to spojrzenie wyrażało więcéj niżby można było wypowiedzieć słowami.

„Niech cię Bóg błogosławi, Maryo!... Nasze niebo rozjaśni się wkrótce.

Służąca która ciągle czekała przy drzwiach, i nie uwiadomiła pani—jak to powinna była uczynić—uznała że wypada jéj wytłomaczyć się panu Lydney, i rzekła gdy wychodził z kotażu:

„Niech mi pan wierzy że zmuszona byłam to powiedziéć.

— Bezwątpienia; możesz być zupełnie spokojną, nie mam o to żalu do ciebie, musiałaś spełnić rozkaz pani, odpowiedział łagodnie, wsuwając jéj w rękę srebrny pieniądz.—Któż to jest ten pan? zapytał nagle.

Pytanie to dotyczyło jakiegoś nieznanego gentlemana który przechodził właśnie koło kotażu, obrócił się kilka razy przyglądając się bardzo uważnie panu Lydney—nawet zbyt uważnie jak się temu ostatniemu zdawało—choć w jego spojrzeniu nie było nic obrażającego, tylko jakby chęć zatrzymania w pamięci jego rysów i całéj postaci.

„Sądzę że mnie pozna z pewnością przy drugiém spotkaniu, zawołał wesoło Lydney. Kto to może być, u licha?

— To bankier lorda Dane. Jeden z pałacowych służących wracał z dworca kolei z torbą podróżną i powiedział mi że ona należy do bankiera milorda, który dziś przybył do pałacu. Ten pan przechodził właśnie tędy i służący mi go pokazał... Bardzo panu dziękuję; żegnam pana, panie Lydney.

Te ostatnie słowa, dość głośno wymówione—bo Lydney już się oddalał, doszły do uszu *bankiera*, który też zawrócił się i zapytał służącéj:

„Czy mi się zdaje, czy nazwałaś tego pana, Lydney?

— Tak, panie, to jest pan Lydney.

Pan Blair ścigał za nim wzrokiem, dopóki mu nie zniknął na zakręcie drogi. Może znalazł pana Lydney innym niż go sobie przedstawił.

— Wygląda całkiem na gentlemana.

Te słowa wysunęły mu się pomimowolnie.

— Bo też nim jest rzeczywiście! zawołała służąca z najgłębszém przekonaniem.

— Ho! ho! pomyślał pan Blair, to człowiek jakby stworzony na to aby zdobywać serca tych poczciwych wieśniaków, bez względu na to czy ta powierzchowność jest zwodniczą czy nie... Bent ma słuszność. Jest w nim coś, co przypomina lorda Dane. Przychodzi mi na myśl...

Co przyszło na myśl panu Blair, tego nie wiemy, bo się zatrzymał, i nawet odrzucił od siebie ten domysł, jakby mu się wydawał zupełnie nieprawdopodobnym.

Rozdział IX.

Nocna napaść.

Pobyt pana Blair w pałacu przedłużał się, i *Bankier z Londynu* umiał stać się popularnym w Danesheldzie. Wkrótce znał tam już wszystkich, i prawie wszędzie był mile przyjmowany; wszedł nawet do chaty matki Bean, i potrafił pozyskać serce staréj czarownicy, sporą paczką tabaki którą jéj ofiarował. Stara nie mogła się oprzéć chęci porozmawiania z tak miłym człowiekiem, i udzielenia mu osobistych spostrzeżeń o różnych osobach, a szczególniéj o Lydney'u i Wilfridzie Lester, których nazwała „dyabłami."

Pan Blair zapoznał się także z Ravensbird'em i jego żoną; *Gospoda Marynarzy* znajdująca się na połowie drogi z pałacu do miasteczka, była najwłaściwszém miejscem do chwilowego spoczynku, dla człowieka używającego tak wiele ruchu jak pan Blair, któremu zresztą bardzo zasmakował jakiś likier francuzki przyrządzany przez Zofię... Nie było dnia w którymby nie wstąpił trzy lub cztery razy na kieliszeczek, i nie pogawędził przy téj sposobności z panem lub panią Ravensbird. Z toku rozmowy wypadało często wspomniéć coś o panu Lydney, nie raz i dłużéj mówiono o nim, a jednak pan Blair, pomimo swéj zręczności, nie zdołał dowiedziéć się nic zgoła, prócz tego co wszyscy wiedzieli.

„Lord Dane życzył sobie bardzo abym wypędził pana Lydney z mego hotelu, rzekł pewnego dnia Ravensbird, ale nie rozumiem dla czego miałbym to uczynić? Skoro ten Amerykanin płaci mi za wszystko, i prowadzi się u mnie bardzo przyzwoicie, nie widzę potrzeby pozbywać się tak dobrego lokatora.

Pan Blair przekonał się w końcu że nikt nie potrafi udzielić mu prawdziwie użytecznych wiadomości, i że będzie zmuszony czekać cierpliwie, dopóki sam Lydney nie wpadnie w łapkę.

Pan Lydney z swéj strony zdawał się znów oczekiwać z gorączkową niecierpliwością powrotu pana Apperly. Nie minął dzień jeden aby dwa lub trzy razy nie wszedł do jego kancelaryi, nie dopytywał się czy odebrano od niego wiadomość, i kiedy powróci do Danesheldu, ale nieszczęściem nie odebrał dotąd zadawalniającéj odpowiedzi.

Jednak w sobotę—w tymże samym tygodniu w którym pan Blair przybył do pałacu—odebrano list od pana Apperly w kancelaryi, z czego ucieszył się najwięcéj jego dependent Crofts, który oświadczył wyraźnie że tak częste odwiedziny tego nieznośnego Lydney'a nudzą go i drażnią niewymownie.

„Wróci jutro lub dziś jeszcze wieczorem, w każdym razie, w poniedziałek rano zastaniesz go pan w kancelaryi.

— Czy pan jesteś tego pewnym? zawołał z żywością Lydney, czy ta wiadomość pochodzi od samego pana Apperly?

— Od kogóż mogłaby pochodzić, jeżeli nie od pana Apperly? odpowiedział zniecierpliwiony Crofts. Może, dodał ironicznie, pokazać panu list który pan James odebrał od niego?

Pan Lydney pośpieszył zaraz z tą wiadomością do Wilfrida Lester, który jednak przyjął ją bardzo obojętnie. Ta gorączkowa niecierpliwość z jaką oczekiwał z początku powrotu adwokata, uspokoiła się zwolna; na cóż mu się mógł zdać pan Apperly i wszyscy prawnicy, skoro ojciec jego nie chce pokazać aktu darowizny?

Lydney dostrzegł także iż Wilfrid od kilku dni unika z nim spotkania. Było to nawet tak widoczne, że Lydney zadawał sobie pytanie, czy i *on* także uwierzył wieściom krążącym o nim. Mało go to zresztą obchodziło, i dotrzymywał sumiennie obietnicy uczynionéj Maryi, że będzie czuwał nad jéj bratem, poświęcając na to większą część czasu, nie tylko w dzień ale i w nocy. Zdawało się jednak że kradzież zwierzyny ustała zupełnie; od pewnego czasu nie słyszano już o niéj.

Nic także dotąd nie potwierdziło wieści o zamiarze napaści na pałac. Co noc, kiedy służący już udali się na spoczynek, Bruff, sam jeden tylko wtajemniczony w tę sprawę, wpuszczał do pałacu mały oddział policyantów ubranych po cywilnemu, a nazajutrz rano wypuszczał ich tak aby nikt tego nie dostrzegł.

Panu Blair zdawało się już że niepotrzebnie przybył do Danesheldu, a lord Dane niecierpliwił się codzień więcéj.

Pewnéj niedzieli wieczorem, kiedy obadwaj znajdowali się w sali jadalnéj i pili spokojnie wino, ktoś lekko i ostrożnie zapukał do okna. Lord Dane wstał, odsunął firanki, i spostrzegł twarz Shada przyciśniętą do szyby. Wspiął się do góry po żelaznych sztachetach, i stojąc na poprzecznéj sztabie, wsparł się rękami o ramę okna.

„A! to ty, mały lucyperze! zawołał lord Dane, otwierając szybkę, cóż cię tu sprowadza?

Shad, zwinny jak kot, wskoczył do pokoju, ale zrazu trudno mu było przemówić; zmęczenie w skutek szybkiego biegu, a następnie skok niebezpieczny, dech mu odebrały.

„Przyjdą dziś w nocy, milordzie; już... już się... wybierają.

Pan Blair posadził go na krześle, i po chwili mógł opowiedziéć spokojnie o co idzie. Opowiadanie jego da się streścić w tych słowach: widział ich w lesie, i z tego co słyszał nabrał przekonania że napad ma nastąpić téj nocy. Kiedy się ztamtąd oddalił aby ostrzedz milorda, przyczepiali czarne zasłony do kapeluszy.

— Ilu ich było? zapytał pan Blair.

— Widziałem czterech: dwóch wysokich i dwóch nizkich. Trzej z nich są ci sami o których już mówiłem milordowi, czwarty, najwyższy z nich był podobny... ale nie widziałem jego twarzy, bo siedział ciągle na pniu drzewa, z zakrytą głową...

— No! do kogóż był podobny?

— Do.. ale nie słyszałem jego głosu... i nie widziałem całéj jego postaci... pomimo to zdaje mi się że był podobny do Wilfrida Lester.

— Co za niedorzeczność! zawołał lord Dane, jakby Wilfrid Lester mógł należéć do napadu na zamek. Ten chłopiec musi być rzeczywiście idyotą, panie Blair... jak to powszechnie utrzymują zresztą.. chciałeś zapewne powiedziéć że to był Lydney?

Jednak chłopiec nie był wcale idyotą, przeciwnie był bardzo bystry, umiał doskonale udawać i ukrywać swe myśli. Było to dla niego rzeczą zupełnie obojętną, czy ten człowiek z zakrytą twarzą nazywał się Lydney, czy też Wilfrid Lester, zdawało mu się że to Wilfrid, ale ponieważ widział że to przypuszczenie nie podoba się lordowi, który widocznie wolał usłyszéć nazwisko Lydney'a, zastosował się natychmiast do jego życzenia.

„Ha! bardzo to być może, odezwał się z doskonale udaną dobrodusznością. Lydney jest także bardzo wysoki i szeroki w ramionach... Tak, milordzie, to musiał być Lydney. Tylko kamasze tego człowieka wprowadziły mnie na ten domysł że to był Wilfrid Lester, ale teraz przypominam sobie że widziałem kiedyś podobne u Lydney'a.

— Możesz pan być pewnym że się nie mylę, rzekł lord cicho do pana Blair.

Pan Blair skinął tylko głową.

— Cóż jeszcze słyszałeś więcéj? zapytał Shada.

— Nic już, panie. Zaczęli żartować ze swoich czarnych zasłon przy kapeluszach, a ja się wymknąłem aby uprzedzić milorda.

Pan Blair i lord Dane rozmawiali z sobą czas jakiś cicho, następnie przesadzili Shada przez sztachety, i kazali mu zeskoczyć na ziemię; po czém lord Dane rzekł do niego.

„Wracaj natychmiast do domu, Shadzie, i połóż się spać. Gdybyś się kręcił koło pałacu, mogłaby cię dosięgnąć kula przeznaczona dla któregoś ze złoczyńców. Jeżeli przyniesione przez ciebie wiadomości są prawdziwe, jeżeli złodzieje zostaną schwytani, dostaniesz nagrodę jakiéj nie spodziewa-

łeś się nigdy. Biegnij do domu, nie zatrzymując się w drodze.

Shad spełnił rozkaz milorda, ale zaledwie odbiegł dość daleko aby go nie dojrzano z okien, skręcił w bok, na wązką dróżkę, i tam przyczaił się pod murem, w miejscu które już nie raz służyło mu za kryjówkę, a nie domyślając się niczyjéj obecności, nie powstrzymywał już oznak najżywszego zadowolnienia. Zaczął skakać, przewracać koziołki, a nakoniec odezwał się głośno:

„Idź spać, powiedział milord!... Ani myślę! Muszę widziéć jak im się powiedzie ten żarcik... A i to także zabawny koncept!... jakbym to ja nie znał Wilfrida Lester; pomimo że zasłonił sobie nos czarną krepą, to ja....

W téj chwili uczuł że go ktoś pochwycił silnie za ramiona. To pan Lydney wyszedł po obiedzie na przechadzkę i był przypadkowo świadkiem wesołych skoków Shada.

— Cóż to mówisz o Wilfridzie Lester, i o zasłonięciu twarzy czarną krepą, Shadzie?

Shad zaczął się kręcić i piszczyć żałośnie.

— Wracam spać do domu, odpowiedział jęcząc.

— Cicho! obrzydły kłamco! zawołał Lydney: czy sądzisz że cię chcę zabić? Słuchaj Shadzie, nie udawaj naprożno głupiego, bo ze mną na nic się to nie zda. Pytam ci się co miało znaczyć to co mówiłeś o panu Wilfridzie Lester, że sobie zakrył twarz czarną zasłoną, i musisz mi odpowiedziéć, bo inaczéj zaprowadzę cię do bióra policyi, gdzie cię zmuszą do wyśpiewania wszystkiego.

— Nie ośmieliłbym się nigdy powiedziéć tego nikomu.

— Ośmielisz się. Dla czego mnie nie miałbyś powiedziéć? Na jakiż to żarcik chciałeś patrzéć? Muszę dowiedziéć się tego koniecznie... Słuchaj! zawołał nagle pan Lydney, czy widziałeś kiedy złoty pieniądz?

— Tak, widziałem... zdaleka!

— Czy chciałbyś miéć taki?

— O!... wykrzyknął Shad, drżąc z radości.

— Powiedziałem ci kiedyś że dostaniesz szylinga, jeżeli mi powiesz prawdę o szkatułce, i dałem ci go, otóż teraz obiecuję ci że jeżeli mi powiesz prawdę o tém co ma zajść dzisiejszéj nocy dam ci piękny pieniądz złoty!

— Za taką cenę, Shad gotówby sprzedać Danesheld ze wszystkiemi jego mieszkańcami, nie wyjmując i siebie. Cały suweren zawierający w sobie tyle szylingów, zdawał się biedakowi niewyczerpaném bogactwem wystarczającém na zakupienie wszystkich królików jakie widział kiedykolwiek. Zakłopotany i niespokojny namyślał się co ma uczynić. Jeżeli wyprawa miała odbyć się rzeczywiście téj nocy, to skoro pan Lydney spacerował sobie spokojnie z cygarem w ustach, to widocznie nie mógł należéć do niéj, jak to przypuszczano. Shad był zbyt przebiegłym aby mógł nie domyśléć się zaraz, że Lydney nie miał żadnego udziału w téj sprawie, i że posądzano go niesłusznie. Pomimo to, wahał się jeszcze, niepewny czy wyjawiając tajemnicę, nie narazi się na gniew lorda Dane.

Lydney zapalił zapałkę i przy jéj świetle pokazał mu pieniądz złoty. Była to dla Shada pokusa tak nieprzezwyciężona, że opowiedział wszystko co do słowa, a przynajmniéj wszystko co sam wiedział: Téj nocy zamierzano napaść na pałac, ukraść srebra i zamordować milorda.

— Co! ukraść srebra, zamordować milorda? Co ty pleciesz! zawołał Lydney. Wilfrid Lester miałby zostać złodziejem i mordercą! Straciłeś rozum, jak widzę!

— Widziałem ich jak zasłaniali sobie twarze czarną krepą, odpowiedział Shad z wyrazem głębokiego przekonania. Był tam Drake, Nicholson i Ben Beecher, i pewny jestem że to Will Lester siedział przy nich. Milord mącił mi tylko w głowie utrzymując że się mylę, i że to pan tam być musiał.

— Lord Dane utrzymywał że to ja tam byłem!

— Przynajmniéj... zawołał Shad cofając się natychmiast, z obawy aby się nie znaleźć między młotem a kowadłem, milord powiedział: Czy to był Lydney czy też Wilfrid Lester? bo obydwaj są równego wzrostu? Odpowiedziałem wtenczas że nie mógłbym przysiądz na to którego z panów widziałem, i spostrzegłem że go to gniewało.... Jakbym ja nie znał dobrze Willa Lester!

Po kilku jeszcze zapytaniach, pan Lydney puścił Shada i pozwolił mu się oddalić. Zostawał pod wpływem niewysłowionego niepokoju. Chodził czas jakiś tam i napowrót nie wiedząc co mu czynić i myśléć wypada. Że Wilfrid należał nie raz do nocnych wycieczek w lasy lorda Dane, o tém wiedział aż nadto dobrze, ale żeby miał brać udział w tak zbrodniczém przedsięwzięciu, tego nie mógł zrozumiéć. Z dwóch rzeczy jedna: albo rozpacz odebrała Wilfridowi rozum, albo stracił wszelkie poczucie szlachetności.

Jakim sposobem przeszkodzić wykonaniu tego występnego zamiaru, a przynajmniéj nie dozwolić Wilfridowi wziąść w nim udziału? Było to jednak rzeczą niezbędną, nie tylko dla dobra Wilfrida, ale i dla ocalenia honoru jego familii. Gorący rumieniec wystąpił na twarz Lydney'a kiedy pomyślał że hańba ta spłynęłaby i na Maryę, gdy wyobraził sobie jéj rozpacz, i rozpacz biednéj Edyty.

Tak rozmyślając spostrzegł ludzi idących ku pałacowi; nie szli oni razem, ale każdy osobno i starając się nie zwrócić na siebie uwagi. Pomimo że byli ubrani po cywilnemu, Lydney poznał między nimi dwóch ajentów policyjnych, Shad uwiadomił go że co noc policyanci schodzili się do pałacu; mały hultaj szpiegował ich co wieczór—zrozumiał więc od razu po co tam idą.

Obecnie nie mógł uczynić nic więcéj jak iść za nimi. Wiedział że naprożno szukałby teraz Wilfrida, postanowił więc obrać takie stanowisko aby mógł widziéć osoby zbliżające się do pałacu, tak z jednéj jak i z drugiéj strony. Znalazł nakoniec stosowne miejsce, i czekał, zwracając uwagę na każdy najlżejszy nawet szelest.

W pałacu tymczasem wszyscy zdawali się pogrążeni w śnie głębokim. Służący pokładli się spać nie domyślając się nawet że jakieś niebezpieczeństwo grozi pałacowi, lub że pan Bruff wprowadza do niego pokryjomu załogę. Pan Blair uprzedził policyantów aby się przygotowali do obrony; pogaszono wszystkie światła i wszyscy mieli się na ostrożności.

Czekali tak dosyć długo, policyanci, każden na swojém stanowisku, pan Blair i lord Dane rozmawiając z sobą cicho i chwytając uchem każdy szmer dochodzący do nich ze dworu; a Bruff miotany był niewysłowioną niecierpliwością. Czekali ciągle... a zegar pałacowy wydzwonił już pierwszą.

„Dziwna rzecz że dotąd nie nadeszli, szepnął pan Blair!“

W téjże chwili usłyszano daleko, w lesie wystrzał. Policyanci wyszli ze swych kryjówek, lord Dane i Bruff, nie znający się na tego rodzaju zasadzkach, pobiegli do drzwi wielkiéj sali.

„Wracać na miejsca, rzekł cicho ale rozkazującym tonem Blair. Nie długo rozpocznie się taniec.

— Musieli napotkać jakąś przeszkodę i biją się w lesie, rzekł lord Dane.

— Na swoje miejsca, wszyscy bez wyjątku, odezwał się znów ajent. Ten wystrzał jest tylko podstępem dla odwrócenia uwagi strażników, i wciągnięcia ich głębiéj w las, gdyby niektórzy z nich znajdowali się bliżéj pałacu. Spodziewałem się czegoś podobnego. Teraz zjawią się tu niedługo. Cokolwiek usłyszycie lub zobaczycie, niechaj się nikt nie poruszy dopóki nie dam znaku.

Wszyscy wrócili na miejsca, znów zapanowało milczenie, i znów czekali. Nic jednak nie zamąciło spokoju.

Lydney czekał także na swém stanowisku, a noc wydawała mu się bardzo długą, i dziwił się że napastnicy zwlekają tak długo spełnienie swoich zamiarów. Słyszał jak zegar wybił pierwszą, słyszał że ktoś strzelił w lesie. Nie przyszło mu na myśl jak panu Blair, że to może być podstęp, ale przeciwnie zaniepokoił się więcéj jeszcze. Nie chciał jednak porzucić swego stanowiska, pomimo że noc była chłodna, wilgotna i mglista, co nie zachęcało bynajmniéj do przepędzenia jej pod gołém niebem.

Nagle dosłyszał jakiś szmer i zaczął przysłuchiwać się uważniéj. Nie był to jednak odgłos podobny do stąpania kilku ludzi, ale raczéj do kroków biegnącego śpiesznie dziecka. Postąpił parę kroków naprzód i potrącił się o Shada.

— A więc to ty znowu! Czemu nie śpisz jeszcze?

— Niech mnie pan nie powstrzymuje, wyjąkał Shad zadyszany. Biegnę do pałacu uwiadomić lorda Dane. Wiem że on nie śpi jeszcze.

— O czém chcesz go uwiadomić?

— Że celem ich wyprawy był Hall, a nie zamek.

— Co ty mówisz! zawołał Lydney.

— Już tam weszli. Już tam są w téj chwili.... Śledziłem ich przez całą noc. Zamiast przyjść tutaj udali się prosto do Hall. Wyjęli szybę z okna.

Teraz Lydney zrozumiał już wszystko. Wilfrid chciał przemocą wziąść *akt darowizny* którego ojciec nie chciał mu pokazać. Nie podpadało już wątpliwości, że nie zamyślano nigdy zakraść się do zamku, Shad pomylił się pod tym względem.

Tak było rzeczywiście. Biedny Wilfrid znękany, rozpaczony, stracił zdrowy sąd o rzeczach, i sądził że nie czyni nic złego wchodząc gwałtem w nocy do domu ojca, aby odzyskać swoją własność.

Gdyby pan Apperly nie wyjechał z Danesheldu, potrafiłby radami swemi powstrzymać Wilfrida, ale adwokat był nieobecnym, a listownie uwiadomił że się nie podejmie tego interesu. Nieszczęśliwy chwycił się wtenczas rozpaczliwego środka: ułożył plan napaści i wezwał do pomocy trzech wymienionych powyżéj ludzi. Wystarał się o pęk rozmaitych kluczy, wrazie zaś gdyby żaden z nich nie otworzył zamku skrzyni, postanowił ją zabrać i wynieść z pałacu. Do tego to właśnie potrzebni mu byli wspólnicy, a łatwo się domyśléć że nie znał całkiem ich dalszych zamiarów.

Kradzież sreber została uradzoną przez tych panów, na schadzkach odbywanych w tajemnicy przed Wilfridem. Nigdy jeszcze nie zaszli tak daleko na drodze zbrodni, ale teraz chcieli skorzystać z tak dobréj sposobności.

Lydney w pierwszéj chwili zaczął biedz ku Hall, lecz zrobiwszy zaledwie kilka kroków zatrzymał się a następnie zwrócił aby zatrzymać Shada.

„Nie chodź do pałacu Shadzie. Nie ma potrzeby uwiadamiać lorda Dane o tém co się dzieje w Hall. Ja nie chcę tego.

Shad spojrzał na niego, a w tém spojrzeniu malowała się chytrość i chciwość.

— Ale oni tam wszyscy są w ciężkiéj o siebie obawie, i dla tego chciałbym zapewnić milorda że może być zupełnie spokojny o pałac, że złoczyńcy już go nie napadną, może mi za to zapłaci.

— A to dobrze postąpiłbyś sobie! odpowiedział Lydney chwytając się także podstępu, przyczyniłbyś się tym sposobem do tego, że zaniechanoby w pałacu wszelkich środków ostrożności, a któż ci powiedział że złoczyńcy ułatwiwszy się w Hall, nie przyjdą i tu sprobować szczęścia? Chciałbym bardzo wiedzieć jaką nagrodę, w takim razie, odebrałbyś od lorda Dane.

Shad otworzył szeroko oczy. Nic podobnego nie przyszło mu na myśl.

— Nie mieszaj się już do niczego, Shadzie, najlepiéj na tém wyjdziesz, a nadewszystko zachowaj najgłębsze milczenie o tém co się dzieje téj nocy, a najgłówniéj o tém co dotycze Wilfrida Lester. Jeżeli zastosujesz się ściśle do mojéj rady, dam ci więcéj jeszcze niż jednego suwerena.

Po tych słowach pobiegł znowu ku Hall. Shad wahał się przez chwilę, ale chęć przypatrzenia się „żarcikowi" przemogła; puścił się lasem, nie tracąc z oczu pana Lydney.

William Lydney zatrzymał się przed Hall, aby zdać sobie sprawę w jakim stanie są rzeczy. Patrzył i słuchał z natężoną uwagą. Wszędzie było cicho i spokojnie. Żaluzye były spuszczone jak zwyczajnie; wszyscy w domu zdawali się pogrążeni w śnie głębokim. Lydney zadawał już sobie pytanie czy Shad nie zadrwił sobie z niego, kiedy strzał z pistoletu rozległ się wewnątrz domu. W téjże chwili jakiś człowiek, którego nie mógł poznać w ciemności, wybiegł frontowemi drzwiami, wpadł między drzewa rosnące po prawéj stronie domu, i zniknął mu z oczu.

Lydney powodowany chęcią ratowania Wilfrida i udzielenia w razie potrzeby pomocy mieszkańcom, wpadł również szybko wewnątrz domu.

Shad powiedział prawdę. Wyjęto jedną szybę, Drake wsunął się wewnątrz domu, przez ten otwór, i otworzył okno przez które inni weszli już bez trudu. Zapalili następnie świecę i zaczęli się przysłuchiwać.... a może też potrzebowali się uspokoić; była to ich pierwsza tego rodzaju wyprawa, i prawdopodobnie musieli doznawać pewnej obawy.

„Tędy," szepnął Wilfrid, który sam tylko znał drogę.

Zaprowadził ich do przedpokoju, do którego wychodziły drzwi od gabinetu ojca. Klucz był w zamku, mogli więc wejść z łatwością i zabrać się do dzieła; Wilfrid Lester dobierał klucze, Ben Beecher trzymał świecę, Drake stał przy drzwiach na czatach, a Nicholson czekał z założonemi rękami. Jeden z przyniesionych kluczy otworzył zamek, ale Wilfrid nie od razu znalazł akt darowizny wśród mnóstwa innych papierów, to powiązanych w paczki, to popieczętowanych w kopertach, to poukładanych symetrycznie jedne na drugich. Musiał czytać wszystkie nadgłówki i podpisy, co wymagało dużo czasu.

Pochwycił chciwie mały pakiecik z podpisem: Testament Jerzego Lester; przez chwilę miał ochotę rozpieczętować go, aby się przekonać czy ojciec rzeczywiście wydziedziczył go na korzyść dzieci z drugiego małżeństwa, ale powstrzymał się natychmiast. „Nie, rzekł do siebie, byłby to czyn przynoszący hańbę." Znalazł nakoniec i pożądany papier.

Kiedy go już trzymał w ręku, kiedy był pewnym że się nie myli, okrzyk tryumfu wydobył się pomimowolnie z jego piersi.

„Powinszujcie mi! znalazłem!

Sądzili zapewne że poszukiwania trwać będą znacznie dłużéj, bo ta wiadomość sprawiła im widoczne zadowolnienie. Kiedy Wilfrid układał napowrót papiery, Drake i Nicholson starali się nieznacznie wymknąć z pokoju.

„Gdzie idziecie? zapytał Wilfrid. Zostańcie tu, proszę.

— O! przecie nam pan nie zabroni poszukać sobie choć chleba i sera! zawołał Drake. Znajdziemy to z pewnością w śpiżarni zanim pan poukłada te papiery. Przecie ich przez to nie zubożymy.

Wilfrid odwrócił się do niego z tłumionym gniewem.

— Znasz dobrze warunki naszéj umowy, Drake. Nie wolno wam nic poruszyć w tym domu; nic, czy rozumiesz? nawet skórki chleba. Nikt przynajmniéj nie będzie mógł powiedzieć że wdarliśmy się tu jak złodzieje, aby przywłaszczyć sobie cudzą własność.

— Zawsze ja przejdę się po domu, odpowiedział bezczelnie Drake; co zaś do chleba, to jeżeli tylko znajdzie się pod ręką...

— Zabiję każdego z was jeżeli poważy się dotknąć ręką czegobądź w domu mego ojca, przerwał stanowczym tonem Wilfrid, wyjmując z kieszeni pistolet. Nicholson! Drake! czy to widzicie? Ostrzegam was abyście się trzymali ściśle warunków naszéj umowy. Obiecałem wam zapłacić za waszą pomoc, znalazłem akt darowizny, a więc będę w możności dotrzymać słowa, ale na to nie rachujcie abym pozwolił wam zabrać ztąd, choćby tylko szpilkę.

Pomocnicy Wilfrida nie spodziewali się zapewne podobnéj przeszkody, on zaś prawdopodobnie przewidywał że może zajść coś podobnego, i z tego powodu, włożył do kieszeni pistolet.

Nie tak to łatwo jednak przywieść do posłuszeństwa ludzi odważnych a zepsutych, zgodzili się na współudział w téj wyprawie z silném postanowieniem wyciągnięcia z niéj osobistéj korzyści, a teraz kiedy wszystko poszło tak pomyślnie, nie chcieli wyrzec się zdobyczy po którą trzeba było tylko wyciągnąć rękę. Drake i Nicholson zaczęli szeptać z sobą, gdy tymczasem Lester chował do skrzyni resztę papierów, aby nie domyślono się że ktoś do niéj otwierał.

„Teraz, rzekł zamykając skrzynię na klucz, wynośmy się równie cicho jakeśmy weszli.

Zamknął drzwi od gabinetu, pozostawił klucz w zamku, i rzekł wskazując im główne drzwi:

— Wyjdziemy tędy, bliżéj nam będzie, a ja umiem otwierać ten zamek.

Przysunął się do drzwi które uchylił trochę, odsunąwszy pierwéj zasuwy. Kiedy się cofnął chcąc przepuścić wspólników, spostrzegł że żaden z nich nie idzie za nim; Beecher postawił świecę na stole, a Drake najzuchwalszy ze wszystkich, stanął na środku przedpokoju, i oświadczył stanowczo że nie odejdzie z próżnemi rękami.

„Dopomogliśmy ci, panie Wilfridzie, wziąść co mieć pragnąłeś, jeżeli więc nie chcesz dopomódz nam na wzajem, to nie przeszkadzaj przynajmniéj. Przyszliśmy tu z silném postanowieniem że sobie sami zapłacimy za nasze trudy, i co do mnie, przysięgam że nie wyjdę ztąd z próżnemi rękami, choćbym nie znalazł nic prócz łyżki srebrnéj.

Wilfrid w miejsce odpowiedzi podniósł w górę pistolet, nie w chęci strzelenia do nich, lecz w téj nadziei że bojaźń śmierci skłoni ich do posłuszeństwa. Ben Beecher obawiając się tak o siebie jak i o swych towarzyszy, przyskoczył do Wilfrida i szarpnął go za rękę. Wstrząśnienie spowodowało wystrzał, kula uderzyła o drzwi szklane, i gruba tafla szkła rozprysła się z przerażającym trzaskiem.

„Głupcy! zawołał z goryczą Wilfrid, uciekajcie, póki jeszcze czas. Głupcy! Głupcy!

Wybiegł przez otwarte drzwi, i prawie jednym skokiem dostał się pomiędzy drzewa, zkąd już łatwo mógł wybiedz na gościniec przeskakując przez sztachety otaczające ogród.

W téj to właśnie chwili William Lydney stanął przed domem.

Beecher i Nicholson chcieli uciekać, kiedy Drake zatrzymał ich za ręce.

„Nie wiedziałem że jesteście tchórzami. Kto wie czy nam się nie uda jeszcze zabrać choć trochę sreber. Jeżeli śpią twardo to może wystrzał nie przebudził nikogo. Zaczekajmy, jeszcze będziemy mieli dosyć czasu do ucieczki, jeżeli...

Nie dokończył. Drzwi wchodowe otworzyły się nagle, i jakiś mężczyzna wysokiego wzrostu wbiegł do przedpokoju. W pierwszéj chwili zdawało im się że to Wilfrid po nich wraca, ale poznali wkrótce że to był William Lydney.

„Hultaje! nędznicy! zawołał gdzie jest Wilfrid Lester?

Zanim zdołali odpowiedzieć, Nicholson spostrzegł na schodach jakąś ludzką postać okrytą czémś białém, która patrzyła na nich przechyliwszy się przez poręcz. Huk wystrzału przebudził widocznie śpiących, bo słychać było skrzypanie drzwi otwierających się na piętrze.

„Nie ma już za czém czekać! zawołał Drake, tupnąwszy nogą z gniewem. Uciekajmy co sił starczy.

— Czy jest tu jeszcze Wilfrid Lester? zapytał niespokojnie Lydney.

— Nie ma już, przysięgam, odpowiedział Beecher, nie oszukiwałbym pana, panie Lydney, oddalił się parę minut temu.

Lydney spojrzał jeszcze dokoła jakby dla sprawdzenia słów Beecher'a, potém wybiegł śpiesznie z Hall, aby wyszukać Wilfrida Lester. Ben Beecher wyszedł na ostatku, zagasiwszy światło. Zatrzasnął za sobą drzwi, usłyszawszy krzyk na schodach, gdyby nie był tak zmieszany, byłby mógł poznać głos Tifflé, krzyczącéj na całe gardło: Złodzieje! rabusie! mordercy! przeplatając to wszystko rozpaczliwemi wrzaskami.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 10.

(Dokończenie).

N. 11 i 46 w N. 11. Ubranie dla panienki lat 10—12, złożone ze spódniczki plisowanej i stanika paletocikowego z kamizelką. Krój Nr. III, Fig. 13—20.

Model ubrania odrobiony był z ciemno bronzowego dyjagonalu; z prostych brytów zeszytą spódniczkę 250 cent. szeroką, układa się w koło w fałdy 5 cent. szerokie. Kołnierz wykładany z klapkami, mankiety i kieszonki są z aksamitu tego co suknia koloru; plecy paletocika zeszywa się tylko do klapek oznaczonych na Fig. 15, które zachodzą na drugie części pleców i są do nich przymocowane trzema guziczkami. Części kamizelki zapinanej na guziczki, wykończa się oddzielnie, obejmuje zarówno jak brzegi paletocika wypustką ze sznureczkiem i przyszywa do szwów bocznych i na ramionach.

N. 14. Serwetka na stoliczek ozdobiona haftem krzyżykowym. Próbki rzuciku na ryc. 33 i 34 w N-rze 11 Tygodnika

W płócienną serwetkę 1 cent. od brzega wszywa się pasek kanwy 5 cent. szeroki, na którym wyszywa się ściegiem krzyżowym, bawełną turecką w dwóch cieniach albo dwóch kolorach, rzucik podług próbki ryc 33 lub 34. Wszycie kanwy przykrywa ścieg cierniowy.

N. 22—25. Fotel przed kominek i krzesło. Haft w guście włoskim.

Model do zarzutki na fotel i krzesło wzięty jest z chustek 50 cent szerokich a 100—110 cent. długich jakie kobiety w Abruzzach noszą na głowę. Haft naśladujący rysunek linijny odrabia się grubemi białemi nićmi (Königszwirn) na tle sukna filcowego w kolorze szafirowym, szmaragdowym, karmazynowym lub bronzowym. Brzegi zarzutki na fotel oszyte są wązką frendzelką włóczkową. Pod haft robiony ściegami długiemi, skośnemi, poprzecznemi i prostemi podkłada się kanwę jak pod robotę krzyżową; wszelkie desenie do haftu krzyżykowego, łatwo można do włoskiego haftu zastosować.

Do krzesła ryc. 23 haft robi się wprost na obiciu z sukna filcowego; szlak szeroki z wyraźnem wskazaniem ściegów podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 25, szlak węższy zmniejszony na ryc. 24. Drzewka nad szlakiem na poręczy dobrać w deseniach Tygodnika Mód z roku przeszłego. Frendzelkę robić na deseczce.

N. 33 i 47. Kaftanik robiony na drutach, dla małego dziecka. Próbka szlaku na ryc. 11 w N. 11.

Kaftaniczek z bawełny Estramandura Nr. 5, zaczyna się od dołu na ocz. 206, i robi ciągle tam i napowrót zdejmując zawsze 1-sze o. bez przerobienia. Najpierw odrabia się koronkę podług próbki podanej w N. 11, na ryc. 11, na którą w pierwszem obr bieniu * 2 o. kręto, 1 przybrać, 3 o. gładko, zgubić przewlócząc o. 2-gie przez 1-sze, 1-no zgubić gł., 3 gł., 1 przybrać. Powtarzać od gwiazdki. Rząd 2-gi, ciągle naprzemian 10 o. kręto 2 o. gł. (te ostatnie zawsze wypadać powinny nad 2-ma gładkiemi z lewej strony). Wszystkie rzędy parzyste robią się jak drugi, opiszemy więc tylko nieparzyste. Rząd 3-ci, * 2 o. kręto, 1 gł., 1 przybrać, 2 gł., 1-no przewlec, 1-no gł. zgubić, *. Rząd 5-ty, * 2 o. kręto, 2 gł., 1 przewlec, 1 gł. zgubić, 1 gł. 1 przybrać, 2 gł. *. Na próbce robota jest raz jeszcze od 1-go rzędu powtórzona, można jednak na szerszą koronkę powtórzyć więcej razy, a na zakończenie dać 2 rzędy wyglądające kręto 2 gładko, poczem tło robić podług próbki ryc. 47, która zbyt jest wyraźna i łatwa, ażeby potrzebowała opisu. W trzecim pasie krętym daje się w środku rząd dziurek do przewleczenia wstążeczki, poczem robi się jeszcze 1 pas w rzucik 1 kręty, potem bierze się naprzód o. 96 a na plecki po o. 55 i robi każdą część oddzielnie nie przerywając deseniu. Tym sposobem tworzą się otwory na pachy; deseń w rzucik powtarza 3 a pasy kręte 2 razy. Robiąc ramiączka zostawia się od brzegów pleców po o. 35 a w środku z przodu o. 56, resztę obrabia się jeszcze 10 razy, gubiąc co drugie obrobienie 1 o. przy wykroju szyi; poczem ramiączka zeszywa się z lewej strony a wykrój szyi obrabia się rzędem dziurek, 1 rzędem krętym i zakończa jak pończochę. Rękawki zaczyna się od dołu koronką na o. 60, rozszerza ku górze stopniowo podług formy wyciętej z papieru, w górze daje się potrzebne zaokrąglenie przez stopniowe skracanie rzędów, poczem rękaw spaja się z lewej strony i wszywa w pachę. Nakoniec dół kaftaniczka, wykrój szyi i rękawki, obrabia się pikotami szydełkowemi.

N. 35. Napierśnik pikowy, ozdobiony kolorowem wyszyciem krzyżowem i oszyty marszczoną koronką nicianą. Krój Nr. XV Fig. 57.



N. 1—2. Toalety wieczorowe albo weselne.

N. 1. Ubranie z długim zwierzchnim trenem. Zobaczyć przód na ryc. 23 w N-rze 12. N. 2. Suknia ze stanikiem z bawetem i draperyą „a panier.“ Zobaczyć plecy na ryc. 22 w N-rze 12.

N. 41. Bucik dla małego dziecka, ozdobiony haftem krzyżowym. Krój Nr. XIII, Fig. 61—63.

Część bucika przykrawa się z barchanu pikowego, cholewkę zeszywa się z lewej strony, następnie brzegi każdej części obejmuje się stębnowaną pliską z kolorowego perkalu, deseń wyszywa kolorową bawełną. Nakoniec przód bucika stębnuje się z wierzchu do cholewki a podeszwę przyszywa się krytym ściegiem. Do zapinania służą płócienne wypukłe guziczki i pentelki z białej plecionki.

N. 41—42. Powijak robiony na drutach, z ząbkami szydełkowemi.

Podług próbki ryc. 42, powijak robi się z bawełny N. 5, zaczynając od równego poprzecznego brzegu na o. 51, a kończąc w przeciwnym końcu spiczasto, jak na ryc. 41. Szerokość wynosić powinna 11—12, a długość powijaka 162 centymetry.

N. 43—44. Sukienka wycięta dla dziecka lat 3 — 5. Krój i deseń haftu na arkuszu z krojami Nr. XII, Fig 45—48a.

Rycina 43 przedstawia sukienkę z ciemno zielonego kaszmiru, bogato ozdobioną haftem krzyżowym, filozelą zieloną. Dolny brzeg sukienki podszyty jest plisowaną, 10 cent. szeroką muślinową falbanką, 4—6 cent. wyglądającą z pod sukienki. Wykrój pod szyją wszyty jest w prosty pasek, ozdobiony zarówno jak krótkie rękawki, białą koronką. Szeroka, luźno przewiązana szarfa, jest z materyi zielonej. Ryc. 44 przedstawia białą batystową sukienkę ozdobioną haftem białym, do którego próbkę deseniu podajemy na Fig. 48a; szerokość szlaku wynosiła 30 cent.

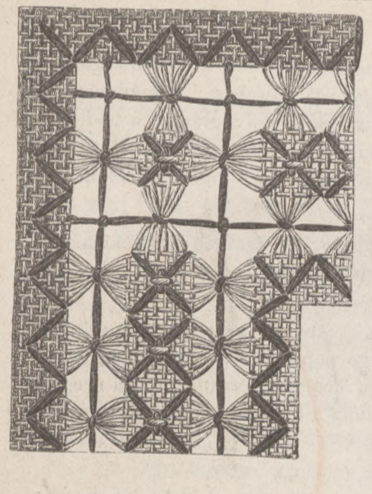
N. 45—46. Sukienka robiona szydełkiem, dla dzieci lat 1 — 3. Krój Nr. IV, Fig. 21—22.

Sukienkę z włóczki kolorowej angielskiej robi się ściegiem karbowanym w zęby, podług próbki naturalnej wielkości ryc. 10 w N-rze 11, zajmując zawsze od spodu w oczko poprzedzającego rzędu i odwracając robotę. Przód i plecki robią się każda część oddzielnie, a do pleców dodaje się od dołu brycik prosty. Przód i części pleców zaczynają się od dołu, pierwszy na o. 105, drugie na o. 45, a brycik tylny na o. 144. Gubienie lub przyrabianie uskutecznia się podług formy. Plecy zapinają się od spodu; brycik prosty obrabia się 9 razy podług próbki, w 10-em obrobieniu zaczyna się listewkę, na którą 24 ocz. początkowych ścisłych, w 24 o. poprzedzającego rzędu, * razem w o. 25 i 26 1 o. ści., w 27 i 28 jeden i pół słupek, w 29 i 30 1 słupek, w 31 i 32 znów razem pół słupka, powtórzyć od * 11 razy; w pozostałe o. 24 o. ścisłych. Rząd 11 zaczyna się i kończy 20 o. ści. w 20 o. poprzedzającego rzędu, między któremi ciągle naprzemian 2 oczka zrobić razem jednem o. ścisłem, w dwa następujące 2 o. ścisłe. Rząd 12 jak 11. Rząd 13 zacząć i skończyć 20 o. ści., między któremi naprzemian 1 o. ści. w jedno poprzedzającego rzędu i 2 o. zrobić razem 1 o. ścisłem. Nakoniec części sukienki zeszyć z lewej strony, brzegi wszystkie obrobić ząbkami wskazanemi na próbce N-rze 10, przyczem na wgłębieniu zębów sukienki trzeba opuszczać 2 o., ażeby ząbki wszędzie wypadły gładko.

Opis do N-ru 11.

N. 1—2. Kapelusze do strojnego wizytowego ubrania.

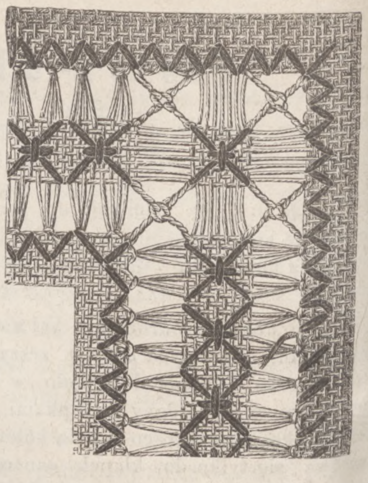
Rycina 1 przedstawia biały filcowy kapelusz, przyciągany dwoma strusiemi piórami i wielką kokardą z wstążki



N. 3. Szlak do serwetki ryc. 19 w N. 13. Kratka ażurowa robiona na kanwie kongresowej.

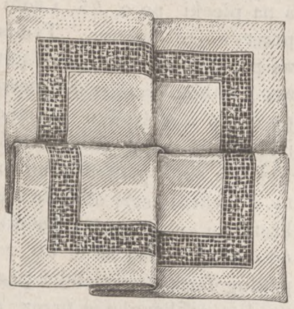


N. 5. Poszewka ozdobiona koronką i haftem, deseń haftu w naturalnej wielkości ryc. 6. Deseń koronki podamy na ark. z krojami do N. 14—15, Fig. 64.

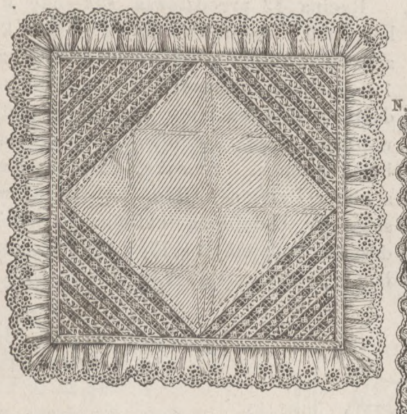


N. 4. Szlak do ryc. 19 w N. 13. Kratka wyciągana w kanwie kongresowej.





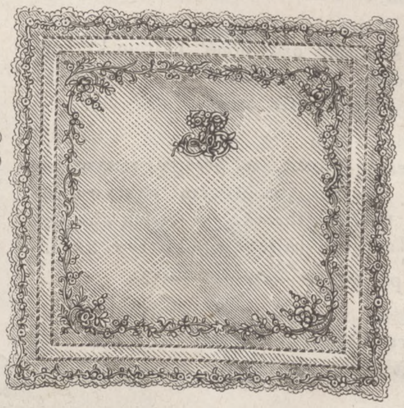
N. 7. Poszewka haftowana. N. 8. Poszewka z wstawką siatkową, próbka deseniu na ryc. 25.



N. 10. Poszewka z narożnikami ze wstawek haftowanych koronkowych.

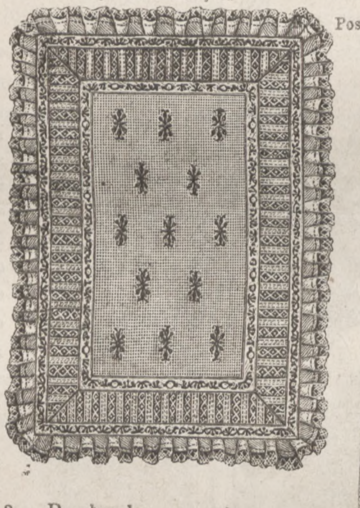


Poszewka ozdobiona haftem agielskim. Deseń podamy na dodatku do Nr 14—15 Fig. 28.



N. 11. Poszewka ozdobiona haftem atłask., Odpowiednie prześcieradło r. 12

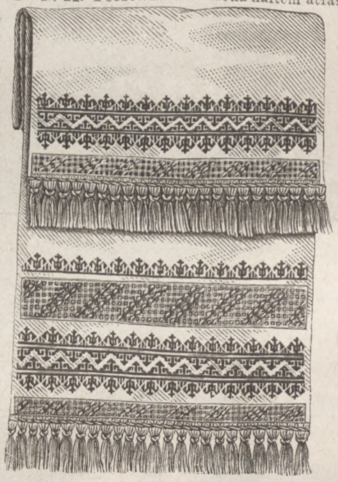
atłasowej 6 cent. szerokiej. Kapelusz jaki widzimy na rycinie 2 jest z białego j edwabnego repsu; na pokrycie marszczone rondka potrzeba prostego podwójnego kawałka repsu 150 cent. długiego a 7 szerokiego; główkę stanowi owal 33 cent. średnicy mający, podłożony sztywnym tiulem, z brzegów złożony w równe fałdki do 46 centym. obwodu. Na złączeniu główki z rondkiem dane opasanie z atłasu i repsu przepięte podług ryc. 2 złotemi klamerkami; dwa białe strusie pióra dopełniają przybrania.



N. 13. Powłoczka na pierzynkę ozdobiona wstawkami koronkowemi i haftem krzyżykowem.



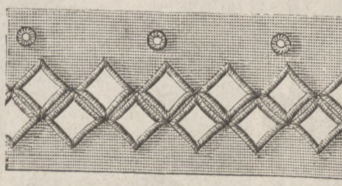
N. 12. Kołdra pikowana z prześcieradłem haftowanem atłaskiem.



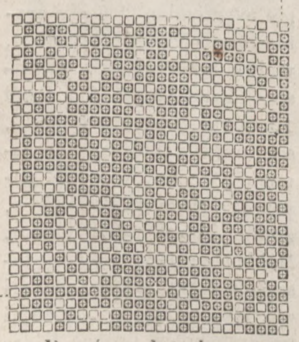
N. 14. Ręcznik ozdobiony krzyżowym, kolorowym haftem i kratkami ażurowemi. Deseń kratek na ryc. 11—13 w N. 13.

N. 3—5. Stanik ze szmizetką, dla młodej panienki. Krój na arkuszu: Nr. II, Fig. 6—12.

Baskina długiego stanika wycięta jest z przodu i z boków w zęby jak to widać na ryc. 3, z tyłu zaś oszyta plisowaniem; wycięcie stanika (odznaczone linją na Fig. 6) dopełnia szmizetka ze wstawek koronkowych przedstawiona oddzielnie na ryc. 5 a przykrojona podług Fig. 11—12. Półdługie rękawy są także zszyte ze wstawek. Stanik ryc. 4 ma długie rękawy a zamiast szmizetki wielki koronkowy kołnierzyk.



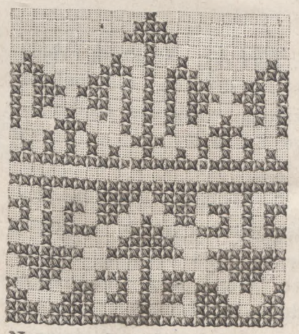
N. 6. Haft do ryc. 5.



N. 16. Deseń na duże kwadraty siatkowe do ryc. 20.



N. 17. Kapa do przykrycia łóżka i dywanik przed łóżko ozdobione haftem krzyżykowym. Desenie na ryc. 24—32 w N. 13 Tygodnika.



N. 15. Próbka deseniu do ryc. 14.

N. 6—7. Negliżyk muślinowy ze szkocką wstążką. Krój podstawy na ark. N. VIII, Fig. 27.

Podstawę czepeczka kraje się podług Fig. 27 ze sztywnego tiulu, oszywa brzegi drutem i obejmuje skosem muślinowym; przykrycie zwierzchnie stanowi owalny kawałek muślinu 32 cent. szeroki a 50 długi, obrąbiony z brzegów i oszyty plisowaną koronką (dentelle bretonne) 4 cent. szeroką. Następnie kawałek ten składa się we dwoje wzdłuż, tak aby zwierzchnia połowa była węższą o 2 cent. od spodniej, prawy koniec fałduje się i przyczepia do podstawy (podług gwiazdki wskazanej na Fig. 27); 20—22 c. dalej zakłada się znowu kilka fałd i przyczepia muślin do podstawy, w miejscu oznaczonem krzyżykami na Fig. 27. Drugi koniec muślinu w odstępie 11 cent. od brzegu sfałdowany jest do 5 cent. szerokości, przypięty wężem ze wstążki i przyszyty do podstawy w miejscu oznaczonym dwukropkiem na Fig. 27. Dodawszy kokardy ze wstążki szkockiej, 6 c. szerokiej, podług ryc. 7, końce czepeczka łączą się z sobą, składając widoczną na ryc. 7 gwiazdkę do gwiazdki.

N. 9. Okrycie wiosenne dla młodej panienki. Krój na arkuszu Nr. X, Fig. 32—34a.

Odrobione z miękkiego materyału piaskowego koloru, z aksamitnym bron-

zowym kołnierzem. Fig. 32a—34a przedstawia w maleńkim formacie całość formy, danej na Fig. 32—34. Po zszyciu pleców od F do dołu łączą się przody i plecy (krajane wrsz z rękawami) na ramionach szwem od A — B i dalej od B—C. Od D do E w miejscu oznaczonem linją prostą przody przyszywają się do pleców od spodu niewidocznemi ściegami. Kołnierzyk przyszyty od G do F podaje się sztywnym muślinem i podszywa kamlotem; brzegi okrycia i szwy podszyte są pliską 6 i 3 cent. szeroką. Do przyozdobienia okrycia służy frendzla z karbowanej plecioneczki, 10 cent. szeroka.



N. 18. Kapelusz wiosenny, czarny słomkowy.



N. 20. Serwetka na stół albo kapa na łóżko, ozdobiona kwadratami z siatki gipiurowej i haftem krzyżykowym. Desenie na ryc. 16 i 21—24.

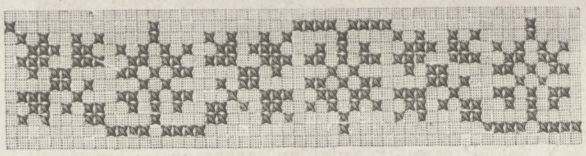


N. 19. Kapelusz wiosenny tiulowy.

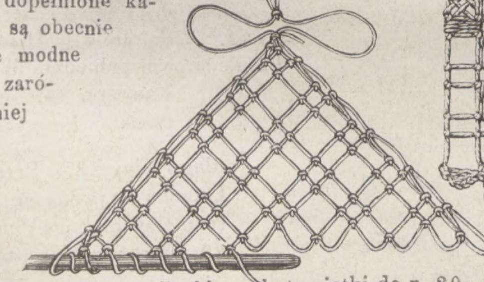
N. 12—18 i 43—44. Suknia z kaftanikowym stanikiem i kamizelką. Krój na ark. Nr. XI, Fig. 35—44.

Staniki kaftanikowe zapięte zaledwie dwoma lub trzema guzikami, dopełnione kamizeleczką są obecnie niezmiernie modne i noszone zarówno do mniej strojnych jak i do bardzo eleganckich sukien. Kamizelki wykończają z całą starannością nietylko z takiego materyału jakim suknia jest przybrana np. z faille, atłasu, aksamitu, pekinu lub t. p. ale do sukien wełnianych szyją z materyału jedwabnego adamaszkowego lub przerabianego w deseń naśladujący haft; do teatru, na koncerta lub zebrania wieczorne modne są kamizelki z białej piki. Jeżeli kamizelka jest z materyi gładkiej to zdobi ją haft atłaskowy płaski, ściegiem luźnym lub krzyżykowym, wzory haftu załączyliśmy na rycinie 16—18. Fig. 35 i 36 podaje formę ładnie leżącej kamizelki zapiętej wzdłuż na guziczki odpowiedniej do sukni ryc. 44 i 12; na rycinie 13 — 14 przedstawiona jest ta kamizelka od dzielnie z przodu i z tyłu. Przody kamizelki krają się trochę dłużej od pleców i ścinają u dołu prosto, śpiczasto lub w ząb, u góry zachodzą pod samą szyję lub są wycięte jak do sukni ryc. 43. Haftowane kamizelki zapinają się na kryte haftki a dla lepszego leżenia mają dodany pasek zapięty z tyłu.

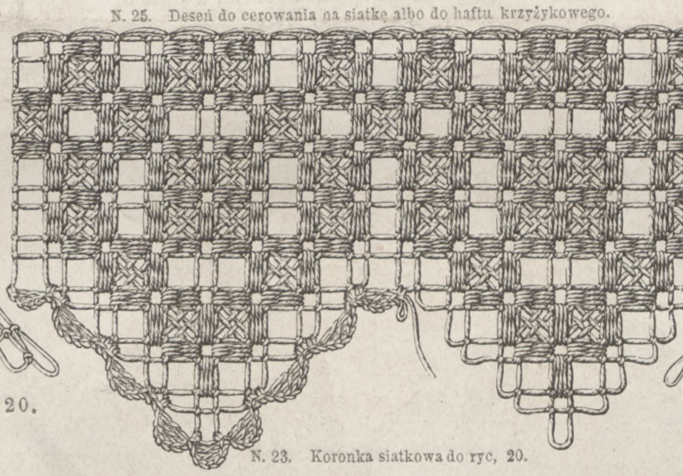
Rycina 44 przedstawia suknię z ciemno bronzowej faille u dołu zakończoną dwoma plisowanemi falbankami po 16 cent szerokości; przód i boki naszyte są trzema plisami po 12 cent. szerokiemi, z atłasu w pasy aksamitne, przy drugiej i trzeciej plisie dana wypustka 3 cent. szeroka; przy brycie tylnym plisy zakończone są kokardami. Upięcie na tylnym brycie sukni składa się z dwóch brytów, przykrojonych podług Fig. 44, zeszytych z sobą i sfałdowanych z boków podług znaków; górny brzeg jednego bryta fal-



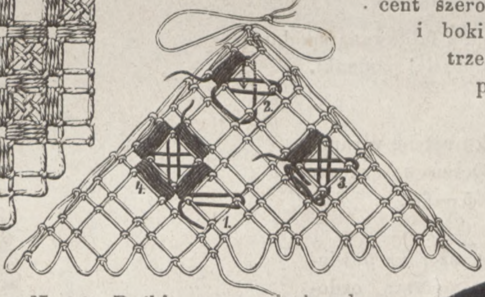
N. 25. Deseń do cerowania na siatce albo do haftu krzyżykowego.



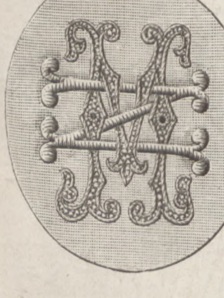
N. 21. Próbka roboty siatki do r. 20.



N. 23. Koronka siatkowa do ryc. 20.



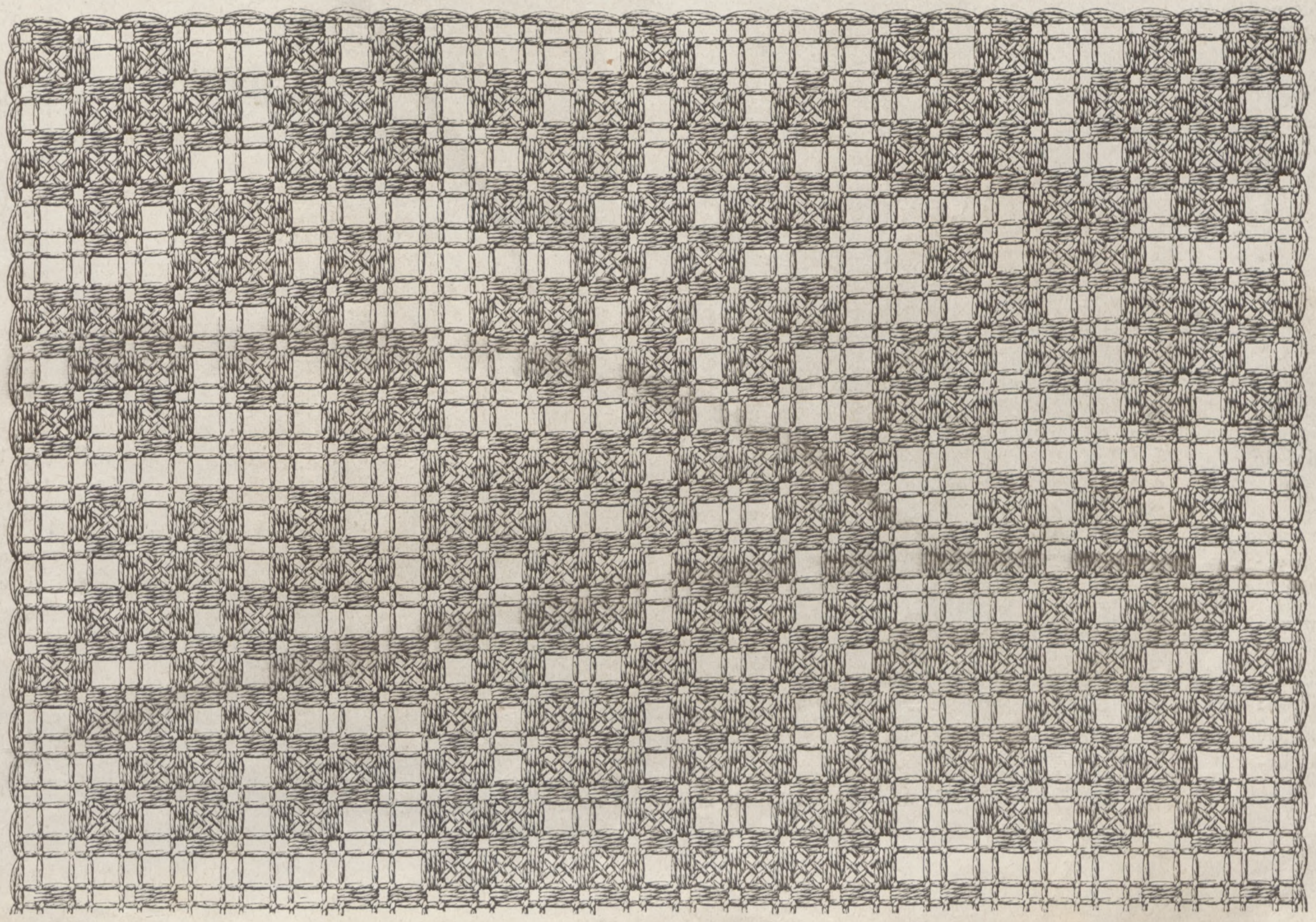
N. 22. Próbka cerowania kwadratów siatkowych do ryc. 20.



N. 26. Litery haftowane do znaczenia bielizny.



N. 27. Litery haftowane do znaczenia bielizny.



N. 24 2/3 część desenia na kwadrat mniejszy do ryc. 20.

duje się i wszywa w pasek wraz z suknią, drugi bryt tworzy pukiel odznaczający się pod baskiną stanika. Stanik kraje się podług Fig. 37 — 43 i zszywa pasując podług odpowiednich liter; założywszy cztery fałdy oznaczone na Fig. 41 baskina podpina się w górę i zeszywa składając gwiazdkę do gwiazdki. Na rycinie 43 widzimy suknię z odmiennem rodzajem przybrania przodu, które łatwo ułożyć podług wzoru; stanik nie ma wcale kołnierza; kamizelka adamaszkowa ma wykrój kwadratowy.



N. 31. Ubranie z fałdowaną spódnicą dla niedorosłej panienki.

N. 31. Lusterko ręczne w ramie haftowanej. Deseń na arkuszu Fig. 65—66.

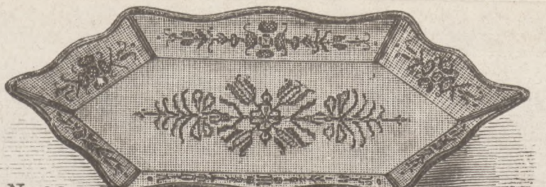
Rama 4 cent. szeroka powle- [illegible] materyą, ozdo- [illegible] iem do cie- [illegible] g deseniu [illegible] robić po- [illegible] owiednio



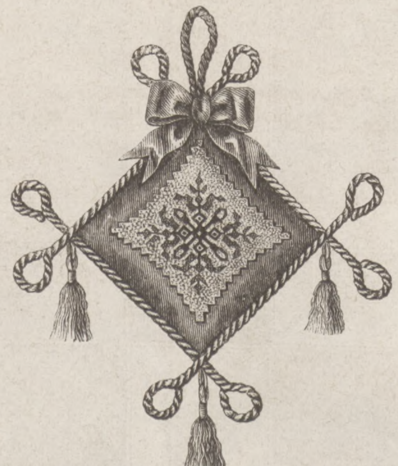
N. 33. Wzór kroju tuniki do ryc. 32.

N. 23—25. Kwiat siatkowy.

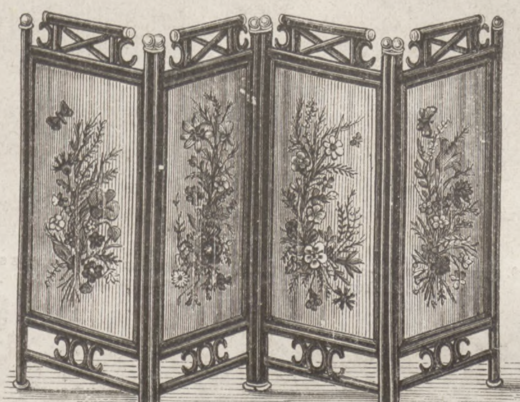
W przeszłym roku w kwartale trzecim podaliśmy szczegółowy opis roboty kwiatów siatkowych, tam więc odsyłamy czytelniczki którym ta nowość się podoba. Podług nas, efekt bynajmniej nie dorównywa robocie i sądzimy że kwiaty siatkowe mało znajdą zwolenniczek.



N. 28. Płaski koszyczek ozdobiony haftem krzyżykowym.



N. 29. Poduszeczka wisząca do szpilek. Haft krzyżykowy.



N. 30. Parawanik ozdobiony zasuszonemi kwiatami.



N. 34—35. Ubranie złożone ze spódnicy i vêtement.

N. 26—29. Chusteczki batystowe.

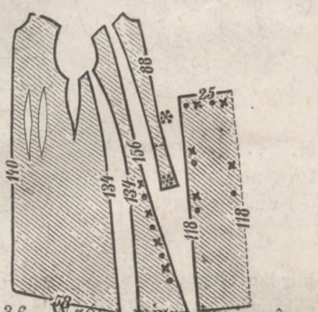
Rycina 26 przedstawia chusteczkę ozdobioną koronką irlandzką, na którą deseń załącza Fig. 30 na ark. z krojami. Na rycinie 27 widzimy chusteczkę batystową obrąbioną wąziutko, oszytą wstawką 2 lub 3 cent. szeroką po za którą dany obręb wyszyty kolorową bawełną ściegiem krzyżykowym podług ryciny 28. Brzegi oszyte koronką wywodzoną na tiulu (dentelle bretonne) podług ryc. 29 i plisowaną w odstępach.



N. 32. Ubranie z podpinaną tuniką dla niedorosłej panienki. Wzór tuniki na ryc. 33.

N. 31—32. Negliżyk strojny dla młodej mężatki.

Podstawę czepeczka stanowi trójkąt sztywnego tiulu, z zaokrąglonemi końcami, z brzegów skośnych po 11 cent., z prostego 18 cent. długi; brzegi oszyte są drucikiem i wstążką różową. Czepeczek upięty jest ze skośnego kawałka crêpe-lisse, 18 cent. szerokiego, 72 długiego z brzegów bocznych i z tyłu oszytego koronką wzdłuż a z brzegu przedniego tylko do 24 cent. od końcy.



N. 36. Wzór i miary kroju vêtement do ryc. 34—35.

(dok. nast.)